

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 14 kwietnia 1946 r.

Nr 14 (42)

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Znowu „widmo Szeli”!

(„Tygodnikowi Powszechnemu” w odpowiedzi)

Specjalny numer tygodnika „Wies”, wydany w rocznicę rabacji galicyjskiej, spotkał się z surowym potępieniem katolickiego „Tygodnika Powszechnego” (Nr. 12, 24 marca). Uprawiane przez „Wies” gloryfikowanie Szeli, które zdaniem „Tygodnika” ma służyć szerzeniu nienawiści, jest niedopuszczalnym zniekształceniem historii, idealizowaniem bandytyzmu i głu poty politycznej chłopa polskiego. „Tygodnik” przytacza fakty okrucieństw, które nic nie zdoła przeinaczyć: „A. Horodyński pokrajany przez tłum na kawałki, A. Dembiński, któremu odrąbano palce, aby zdjąć pierścionie, Stołwiński, przywiązany za brodę do konia i zawieszony na śmierć, H. Broniewski, któremu wydarto oczy, zmuszając przytem jego żonę, by świeciła przy egzekucji i wielu innych. A kobiety? Bałazińska, Ihasowa, Kepińska (w ciąży), Małecka, zaduszona 60-letnia staruszka Morska, Świdarska, zmuszona do picia wódki w takich ilościach, że umarła w konwulsjach, i wiele innych. Jak „Wies” może przemilczać — zapytuje „Tygodnik Powszechny”, — że okupacyjne władze austriackie płaćły za zabitego szlachcica 10 złr. za pokaleczonego 8 złr., za zdrowego — 5 złr.? Że rabacja była celowo wywołana przez zaborcę, by nie dopuścić do polskiego powstania demokratycznego, że była ona reakcyjna, antynarodowa, że w skutkach umocniła pochód niemczyzny na wschód? I oto pada ze strony katolickiego pisma kulturalnego pod naszym adresem obelżywy epitet: CHWAŁCY GERMAŃSKIEJ KONTRREWOLUCJI.

CZY MOŻLIWA JEST DYSKUSJA O SZELI?

Czy możliwa jest na ten temat polemika „merytoryczna”, pozostająca w kręgu zagadnień historycznych? Czy byłoby słusznym, gdybyśmy w odpowiedzi „Tygodnikowi Powszechnemu” wdali się w drobiazgową analizę dokumentów, gdybyśmy wychwytali każdy jaśniejszy promyk świadomości klasowej, celowości, planowości, szerszych spodziewań i zamiarów u przywódców i uczestników buntu chłopskiego, gdybyśmy wyszukali fakty świadczące o obłudzie urzędników, którzy wszak obiecywali chłopu — swobodę i opiekę cesarza, gdybyśmy nakreślili posępny obraz ucisku i samowoli, których ten chłop był od panów przez tyle wieków ofiarą? Gdybyśmy chwytaли publicystę „Tygodnika” na zmyłkach i potknięciach, dowodząc mu dokumentarnie, że mimo jego zapewnień o bezstronności polskich historyków, przemilczali oni to z przeszłości klasy szlacheckiej, co świadczyło o jej okrucieństwie, a bojowników o wyzwolenie klasowe przedstawiali jako zdradców lub złoczyńców? Że „Tygodnik”, który za jeden z celów postawił sobie kompromitowanie myśli marksistowskiej, nie powinien bez narażenia się na żarty powoływać się na Marksa by nas pognać? (Marks, proszę panów — może to was przekona? — uważał nie rabację lecz powstanie krakowskie przeciw któremu rabacja była skierowana, za ruch rewolucyjny”), tymbardziej, że Marks mógł nie być zorientowany i mógł się mylić — i rzeczywiście w tym wypadku się mylił. Deklaracja bowiem umieszczona w markowskim „Manifestie”, — że komuniści w Polsce będą popierać ruch agrarny i insurekcji, musiała być oparta na fałszywej informacji bo niewątpliwie nasza rewolucja 46 r. była o tyle „agrarna”, że doprowadzona przez właścicieli latyfundiów, — najbardziej „ziemiańskie” powstanie w Polsce!

Ale dyskusja w ten sposób prowadzona, oparta na źródłach, wychwytyjąca

wzajemne pomyłki, usiłująca naciągnąć fakty historyczne do tego czy innego sprawdzianu moralnego, byłaby — czujemy to, najzupełniej fałszywą. Problem Szeli jest bowiem jednym z problemów „parawanowych” jest pretekstem, zaczepką, za którą ukrywa się rzecz nierównie ważniejsza: stosunek wstecznej inteligencji, tych pogrobowców i dziedziców polskiego szlacheckiego ziemiaństwa, do klasy chłopskiej.

TRADYCJA PROPAGANDOWA „WIDMA SZELI”

Otóż idzie o to, że legenda Szeli ma w walce propagandowej przeciwko zorganizowanemu stronnictwu chłopskim tradycję, ciągnącą się od mniej — więcej końca 19-go stulecia. Podobne użytkowe hasła, ustalone zawołania i slogany w rodzaju „żydo — komuna”, „folkfront”, „zaraza komunistyczna”, stosowane do innych postępów grup społecznych, pojawiły się w walce partyjnej dopiero w okresie pierwszej niepodległości. Ale radykalni chłopcy słyszeli o „Widmie Szeli” już od 60 lat. Tym upiorem straszono z ambon już „Zaraniarzy”; a w jakim stopniu nadużyto owej zjawy w okresie strajku chłopskiego, przekona się każdy kto przerzuci gazety z sierpnia 1937 r., oczywiście gazety wrogie chłopu. Strajk miał być manifestacją na rzecz postulatów Stronnictwa Ludowego, w myśl hasła: „Milionowe rzesze chłopskie zdają sobie sprawę, że nie posiadają w Polsce, mimo spełniania swych obowiązków, tych praw, któreby im się należały. Chłopi o prawo do życia i do współgospodarzenia krajem walczyć będą dlatego, że oni są odpowiedzialni tak za losy obecne, jak i przyszłe swojej ojczyzny...”. Strajk miał trwać 10 dni, polegał na wstrzymaniu dowozu produktów rolnych do miast. A teraz weźmy do ręki organy prasy: Czas: „Karygodna lekkomyślność, brak poczucia odpowiedzialności godny ubolewania...”. Warszawski Dziennik Narodowy: „akcja komunistyczna — anarchizująca”, Il. Kurjer Codzienny: „metody sabotażu i terroru w życiu politycznym wymagają najsurowszego potępienia”, Gazeta Polska: „Stłumienie anarchizacyjnej akcji Stronnictwa Ludowego”, Kurjer Poranny: „Strajk ten

jest polityczną zbrodnią, dla której nie może być usprawiedliwienia, musi być stłumiony żelazną, twardą, bezwzględną ręką”. Express Poranny: „Świętokradztwo!” (dosłownie!) i wreszcie Polska Zbrojna, organ Wojska, opawanego wówczas przez wsteczne elementy oficerskie dające tytuł tłustym drukem: WIDMO SZELI.

Wyglądało by z tych komentarzy dziennikarskich, że chłopcy popełnili gwałty przyjęte z oburzeniem przez naród i zagrożające nową zbrodnią w rodzaju rabacji. A jak było w rzeczywistości? Oto odpowiedź premiera Składkowskiego na interpelację w sejmie: „Reakcja policji musiała być bardzo ciężka. 42 zabitych... (Słownie czterdziestu dwóch!). Ale trzeba było strzelać. Niestety, za mało posiada się policji i wskutek tego strzelanie było nieuniknione” („Zielony Sztandar”, Nr. 63). OTO BYŁY OFIARY RZEKOMEGO SZELI.

NIESZCZĘSNA TRADYCJA.

Ale co to wszystko ma wspólnego z krytyką z jaką słusznie wystąpił „Tygodnik Powszechny”? — mógłby ktoś zapytać. Zarzucono nam, że gloryfikujemy bandytę, zniekształcamy historię i w ten sposób przez przekraczanie prawdy staraliśmy się szerzyć niepotrzebną nienawiść. Albo więc trzeba przyjąć dyskusję i udowodnić, że Szela nie był przestępcą, albo przyznać się do pomyłki i więcej nienawiści nie szerzyć. Z tym tematem nie mają nic wspólnego wspomnienia o przesładowaniu chłopów za sanacji, czy wyliczenie pism, które w zamiarze propagandowym straszyły obłudnie postacią Szeli!

Otóż to właśnie jest jedyny wypadek, gdy dyskusji wprost przyjąć nie można. Nie tylko dla tego, że ten kto by bronił Szeli musiałby prawdopodobnie wyjść po bity. Nie dla tego doszukujemy się pod parawanem „historycznej dyskusji” — czego innego — zasadniczego, ideologicznego, wrogiego stosunku do chłopów; nie dlatego przeprowadzamy porównanie między sposobem, w jaki posługiwał się strachem Szeli sanacyjny pismak, i w jakim dziś „Tygodnik” nie pozwala na gloryfikowanie jego postaci. Nie jest to ucieczka przed „merytoryczną”, „źródło-

wą” dyskusją, nie jest to podstępne „insynuowanie”. Podstęp jest — ale ZE STRONY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”.

Bo w tym jedynym wypadku idzie nie o to, czym właściwie była rabacja, i nie o jej ocenę moralną, a o to, KTO, W JAKIM CELU I W JAKICH INTENCJACH NA NIĄ SIĘ POWOŁUJE.

Idzie nie o prawdę historyczną, a o pro pagandowy cel jej użycia, konstruktywny lub niszczący: może już nie z analizy historycznych szczegółów rabacji a z nawiązania do niej, ze sposobu posłużenia się jej legendą, która jest w tym wypadku nierównie ważniejsza, prawdziwa czy nieprawdziwa, — może zdołamy dojść, kto tu jest właściwie szerzycielem nienawiści.

REWOLUCJA POSZUKUJE PRZODKÓW.

Skąd w ogóle mógł przyjść chłopskim literatom do głowy pomysł, by postaci Jakuba Szeli poświęcić specjalny numer rocznicowy, bez względu na to, czy oświe tla go się dodatnio czy nie (bo w imię prawdy stwierdzić należy, że wcale nie były na kartach „Wsi” przemilczane fakty okrucieństw i przekupstwa przez okupantów, jak wmaśnia „Tygodnik”). Jesliby nawet „Wies” pragnęła wywołać dyskusję dokoła tej postaci (co się też stało, patrz wypowiedzi w następnych numerach, gdzie nie brak głosów potępiających), to przecież jest faktem, że próbowaliśmy wywołać zaciekawienie kwestią rabacji, a więc widzieliśmy w niej coś pozytywnego. Dlaczego? „Tygodnik Powszechny” ma odpowiedź: była to PROWOKACJA.

Nie, to nie była prowokacja. Było to zjawisko charakterystyczne dla tworzącej się, świeżej kultury nowo — podnoszącej się klasy: poszukiwanie przodków. Przebiegając ciemne karty historii chłopu polskiego, marzymy by natknąć się na postać choćby taką jak ów rosyjski Pugaczow, który ogłosił się chłopskim carem, wyruszył na Moskwę, i pobity, zginał śmiercią męczeńską, ścięty toporem; jak ów Dżon Twardorek, sławny z surowego dowcipu, który obudził masy chłopskie Anglii do walki i zginał łamany kołem; jak średnio-wieczni przywódcy Żakerji francuskiej, stłumionej z niesłychanym okrucieństwem, a tak pełnej świadomości klasowej, tak płonącej żądzą „usunienia władzy pańskiej aż do końca świata”. Ale na próżno; historia ukazuje u nas jeden tylko wypadek: właśnie rabację Szeli, — i jak nieszczęśliwy, jak żałosny, jak dwuznaczny...

Jeśli chcemy być uczciwi, nie przejdziemy nad tą postacią do porządku. Nie postąpimy jak nam radzi „Tygodnik” — by powołać się na Kościuszkę. Szukamy samorodnych odruchów świadomości klasowej, nie inspirowanej, nie organizowanej przez patriotów szlacheckich, nie kierowanej przez naszych solidarystów. Nieszczęsny ojciec Szela pozostawił swym współbraciom kłopotliwą tradycję; nie umiał stworzyć legendy... Okrucieństwa błędna poprawda wobec faktu odwiecznego prześladowania i pohańbienia milionowego tłumy chłopskiego; nikt nie liczył zbrodni szlacheckich, wszyscy liczyli pomordowanych przez rabację. To historia możeby wy tłumaczyć; ale zdrada narodu? udział w tłumieniu powstania? Ta głupota polityczna, w połączeniu z brakiem jaśniejszej wypowiedzi ideologicznej, — gdyby choć świateł z przemówienia Szeli, gdyby jakiegokolwiek dokument świadczący o intencjach... Nie krew rozlana świadczy przeciw Szeli, a brak jednego słowa od niego pochodzącego, — to grobowe milczenie, potwierdzające

Co Papież Grzegorz XVI myślał o Szeli?

„Tygodnik Powszechny” pełen słusznego na nas oburzenia, że wspomniany bandyta, antypolski, antynarodowy rabacę chłopską, przytacza wiele historycznych faktów i powtarza rozmaite potępiające opinie — między nimi nawet samego Marksa; ten o Szeli co prawda milczy, ale stwierdza, że powstanie, przeciwko któremu Szela podniósł krwawą rękę, było ruchem rewolucyjnym. Skoro katolickie pismo powoływa się na teoretyka socjalizmu, my z kolei pozwolimy sobie przytoczyć opinię głowy Kościoła, dyskretnie przez „Tygodnik” przemilczaną. Gdy próba powtórzenia legła w potopie krwi, gdy Szela odznaczony orderem za wymordowanie 3.000 zbuntowanej przeciw cesarzowi szlachty osiadł na Bukowinie, i gdy w kraju zapanował niewątpliwy spokój, Papież Grzegorz XVI skierował do biskupa tarnowskiego list pasterski. Czy udzielił mordercom nagany? Czy skarcił surowo austriackich organizatorów rzezi? Czy wypowiedział choć jedno słowo litości? Ach, nie! Grzegorz XVI — potępił ofiary mordu,

stwierdził więc pośrednio, że się z Szelą najzupełniej solidaryzuje:

„Polecam duchowieństwu biskupstwa wierną służbę cesarzowi, którego władza pochodzi od Boga, i przeciw któremu przedsięwzięto niegodziwy spisek. Uknułi go ludzie, którzy idąc jedynie za swymi żądzami, wzburzani bezustannie, jak fale morskie, gardzą wszelkim panowaniem i bluźnią przeciw majestatowi tronu. Tym więcej jesteście zasmuceni, iż wielu duchownych było, uwiędzionych złymi radami i intrygami, i że nawet kilku proboszczów ośmieliło się w sprawie tak ważnej odstąpić od swych obowiązków”.

Nie mógł Grzegorz XVI bezpośrednio wypowiedzieć dodatniej swej opinii o Szeli, z tych samych powodów, dla których dziś Pius XII nie może chwalić faszyzmu: nie wypada wprost pochwalić mordercy. Niemniej sympatia namiestnika chrystusowego dla wodza rabacji jest niewątpliwa, i żałować należy, że jej „Tygodnik Powszechny” nie uwzględnił. ZK.

najwidoczniej, że był robotem, maszyną do mordowania — że nie miał nic do powiedzenia.

Oto jest jedyna polska tradycja. Nie będą nią indywidualne buntury rzeczywistych rozbójników, Kostki - Napierskiego i Janosików, uskrzydłone przecież pieśnią i legendą ani rzezie hajdamackie obciążające niepolitego chłopca an białoruskie ruchy w królewskich państwach w XVIII wieku. Zostaje: SAM SZEŁA. Gdyby choć rabacja przypadła na okres niepodległości państwa szlacheckiego! Ale nie; wszystkie możliwe zarzuty, wszystkie zbrodnie, wszystkie plamy leżą na tym jedynym, przypuszczalnym, możliwym bohaterze, — bez jednego jaśniejszego motywu usprawiedliwiającego — JAK NA IRONII!

CZY CIEŃ NIEUDANEGO BOHATERA PADA NA KLASĘ CHŁOPSKĄ?

Łatwo zauważyć, że cień tego nieudanego, odrażającego, fatalnego bohatera przywoływany jest zawsze wtedy gdy chłop podejmuje samodzielny wysiłek polityczny. Tak było w okresie „Zarania”, strajku chłopskiego, tak dzisiaj, gdy chłop zasiada w radzie robotniczo-chłopskiej, stać przeciwników jego samodzielności na ton wypominający i obelżywy. „Po co wam ta żądza władzy, — zdają się mówić — po co to odzeganie się od szlachty i inteligencji, ten „głos nienawiści”? Po co pchacie się tam, gdzieście nie powinni — przy waszym nierozumieniu politycznym, przy złych instynktach, przy antypolskich tradycjach! Przypomnijcie sobie waszego JEDYNEGO KLASOWEGO „BOHATERA”... SZEŁĘ!

Jest w tym chwycie propagandowym chytrłość i perfidia; bo cóż chłop poradzi, że nie posiada innego antenata? Szeła jest wygodnie operować; może to być, zależnie od potrzeb i sytuacji, albo komunistą, albo hitlerowcem ułatwiający pochód Niemczyzny, albo zwyczajny opryszek. Teraz podsuwać nam będą, zależnie od orientacji politycznej, innych bohaterów, dających tak się mniej więcej zinterpretować; po co wam ta nienormalna żądza samodzielności... trzeba żyć dobrze z klerem, ze szlachcicem, który obecnie już się wstydił grzechów i nie jest groźny, itd., itd. Macie przykłady: Wójt Pyrz, Kościuszko, Grzegorz Wieloch, Bartek Zwycięzca i wielu innych.

GRZECHY LUDOWEJ KONTRPROPAGANDY

Trzeba jednak przyznać, że w przeniesieniu cienia Szeły na całą klasę chłopską pomagają niewczesni gloryfikatorzy, którzy chcą go bronić „na siłę”, popełniając przez to niebezpieczną niezręczność. Nie uniknął tego błąd, najskrawiej widoczny na poemacie Jasieńskiego „Słowo o Jakubie Szele”, i autor naszego artykułu, Dyżma Gałaj, który postępował w tym wypadku za tradycją wiciową, oddawna usługując wybielił buntownika i nawet nadał mu tony liryczne. Jest to zjawisko bardzo zrozumiałe: chęć tworzenia mitu, w poczuciu jego wagi, wartości kulturowej. Rola mitu dostrzegają i przeciwnicy i bez trudu a złośliwie niszczą budowany z mozołem „temat Szeły”.

Z tego musimy wysnuć naukę, że nie wolno nam postacią Szeły operować lekko-myślnie. Musimy wiedzieć dokładnie, w jakim celu powołujemy się na jego pamięć. Bo przecież jest na całym tym ciemnym i przynębiającym tle jeden promyczek, — i nikt, żaden historyk nie będzie w stanie go zaprzeczyć. Przyznaje to nawet „Tygodnik Powszechny”: „bunt... był wykorzystaniem istniejących fermentów...”. A więc istniał ów „ferment”, który inaczej się nazywa *poczuciem walki klasowej*! Rocznicą Szeły nigdy dla nas nie była okazja dla radosnego święta, — i być nie powinna. Ale nigdy jej nie przemilczymy, — i zawsze, w skupieniu i spokoju, rozważymy to tragiczne zdarzenie naszej historii, nie by idealizować bohatera, a by uświadomić sobie MEMENTO płynące z jego postaci. To dla chłopów nie święto zwycięstwa, a święto ROZPAMIĘTYWANIA; ze swej strony nie chcemy niczego więcej, by dla pogrobowców szlachetczyzny było to święto NAPOMNIENIA.

WSPOMNIENIE SZEŁY — W SŁUŻBIE SZANTAŻU KLASOWEGO

W Polsce — gdzie istnieje zamilowanie do przenoszenia sporów politycznych na jawowy teren dyskusji historycznej — wykorzystano nieszczęsny wypadek Szeły do szantażowej akcji agitacyjnej przeciw chłopskiej. Działo się to tyle razy tak konsekwentnie, i trwa od dość dawna — że taki badacz naukowy mógłby już napi-

sać rozprawę socjologiczną: „Casus SZEŁY w antyludowej propagandzie politycznej”. „Tygodnik Powszechny” przeciwko „Wsi” to byłby ostatni, najświeższy przykład w tej dysertacji.

Oto dlaczego nie damy się sprowokować do dyskusji O SZEŁY. My pragniemy problem inaczej postawić. My zapytujemy: Czy fakt, że polski ruch chłopski nie posiadał bardziej charakterystycznego i bardziej świadomego działacza, niż Szeła — czy fakt ten obniża wartość samego ruchu? Czy można odmawiać klasie chłopskiej prawa do rozstrzygnięcia o losie państwa? — to jest problem właściwy, a nie: czy Szeła był moralnie w porządku!

Dziś nikt nas nie nabierze na święte oburzenie przeciwko Szełowi! Za tym budującym uczuciem kryje się zwykła obelga rzucona chłopu. Upiór Szeły nas już nie straszy, — ale MY ZAGADNIENIE ODWRÓCIMY: WAS będzie straszył, musi straszyć, i — NIECHAJ STRASZY!

Bo dla nas ten paradoks wygląda inaczej! Dla nas za okrucieństwo Szeły, za jego głupotę, za krzywdę jaką wyrządził sprawie narodowej, — za jego brak orientacji, brak polotu, nawet za to, że nie stać go było na rysy godne bohatera walki klasowej, — za wszystko to odpowiedzialny jest nie starosta austriacki, nie zły chłopski instynkt, nie fatalizm dziejowy, — A TEN, KTO JEGO SAMEGO, JEGO OJCA, JEGO DZIADA UWAGAŁ PRZECZ DZIESIEĆ WIEKÓW ZA BYDLĘ, NIE ZA CZŁOWIEKA.

OSTATNIE SŁOWO „TYGODNIKOWI POWSZECHNEMU”

Ale dla anonimowego publicysty z „Tygodnika” to nie jest święto napomnienia, ani wyrzutu, ani skrucy. Dla niego jest satysfakcja, że znowu może wystąpić przeciwko pasji klasowej chłopskiej, prostując ze ścisłością historyczne błędy i ukazując ze złośliwą uciechą skazy na

ADOLF OLECHNOWICZ

Narodziny chłopskiego gimnazjum

Gimnazjum we wsi, gimnazjum chłopskie...

Łatwo to powiedzieć, nie trudno napisać, ale jak to realizować?...

Rząd?... Wykluczone, nie pozwala na to budżet. Zresztą brak nauczycieli na obsłużenie gimnazjów już istniejących, więc nonsensem byłoby zakładanie nowych.

Słowem wieś musi czekać. A wieś wie, co znaczy czekać. Czeką wieki i doskonale rozumie, jak na tym czekaniu wychodzi. I dlatego czekać już nie chce i bardzo dobrze, że nie chce.

Powstają chłopskie towarzystwa burs i stypendiów. Ale, znowu te kilkadziesiąt wiejskiej, która dzięki tym towarzystwom kształci się dzisiaj, jest kroplą w morzu w stosunku do milionów.

Powstają chłopskie gimnazja i licea korespondencyjne. Korzystają z nich dzisiaj tysiące młodzieży wiejskiej. Ale, mimo chłopskiej twardości i uporu, nie wielu prawdopodobnie da radę zdobyć tą drogą rzetelne wykształcenie, bo w środowisku wiejskim brak ludzi, którzyby mogli pomóc w trudnej pracy samokształcenia. A zresztą korespondencyjną drogą można jako tako uczyć, ale prawie niemożliwością jest wychowywać.

Powstają na wsi tu i ówdzie wieczorowe kursy dokształcające.

Żadna z tych koncepcji nie zdoła rozwiązać sprawy kształcenia się i ukulturalnienia się wsi tak jak ją rozwiązać trzeba.

Dlatego wieś zaczyna u siebie organizować gimnazja i licea.

Żeby nie być gołosłownym, spróbuję, chociaż pokrótce, opisać narodziny gimnazjum i liceum w jednej z naszych wsi.

Nie jest to wieś jakaś specjalna, jakaś wyjątkowa. Wsi takich w Polsce dużo — każda, społecznie rozbudzona wieś, podobna jest do tej. Domów jest 200, rodzin dużo więcej. Jest kościół, szkoła powszechna, koło młodzieży wiejskiej „Wici”, jest spółdzielnia spożywców, spółdzielnia mleczarska, piekarnia spółdzielcza. Jest kilka gospodarstw, w których znać względny dostatek, większość takich — w których koniec z końcem ledwo się wiąże, a nie mało i takich, gdzie nędra z każdego kąta wyziera. Słowem wieś jak wiele innych.

Podczas okupacji tak samo tutaj, jak gdzie indziej: konspiracja, aresztowania, przechowywanie ludzi, którym się pod no-

domniemanym „mieć”. Drodzy panowie! Właśnie dlatego, że macie wszędzie rację, właśnie dlatego, że nie można was złapać na żadnej rzeczowej pomyłce, właśnie dlatego okazuje się cały wasz perfidny stosunek. Waszym obowiązkiem było nie rzucać nam obelg, a zastanowić się, DLACZEGO wydobywamy dziś z lamusa postać Szeły; jaki sens kulturotwórczy i klasowy kryje się w tym kroku. Było to chyba widoczne, choćby z artykułu St. Lichańskiego „Projekt powieści o Szele”, czy z poematu Skonecznego. Raziła was nietyle postać Szeły, co intencje, w jakich wywołaliśmy ją znowu; dlaczego nie chcieliście ich zauważyć i skrytykować?

Zdaje się, że wiemy to dobrze. Położenie „Tygodnika Powszechnego” dzisiaj, godne politowania, budzi współczucie, a nawet sympatię — zwykle tak bywa z opozycją w państwie, gdzie działa jeszcze wiele sprzecznych sił. Ale w takich sytuacjach, jak dyskusja o Szele, okazuje się, niby z za maski inne oblicze, — i dziś, gdy po tylu wiekach, podczas których tamci byli na wozie, a chłop pod wozem — gdy dziś sytuacja się zmieniła, nie zamierzamy podtrzymywać w nikim niechęci do zaszczutych epigonów starego porządku. Ale z tego protestu przeciw gloryfikowaniu Szeły — mimo że niczego wprost protestowi nie można zarzucić, — jakże wiele daje się odczytać! Tu właśnie zjawia się „widmo Szeły” wywoływane przez premiera Składkowskiego nad trupami czterdziestu dwóch pomordowanych ludowców; tu dźwięczy rasowa, klasyczna niechęć do chłama, tu możemy zobaczyć, co by nam groziło, gdyby znowu PRAŁAT sięgnął po władzę, stowarzyszony z militarystą, ziemianinem, handlarzem.

CI, KTÓRZY NIE ZAPOMNIELI

Kończąc swój rejestr pretensji do tygodnika „Wiś”, przytacza „Tygodnik Powszechny” „wielkie słowa prawdziwego Polaka”, by nas zawstydzić. Jest to fragment z hymnu Ujejskiego:

„Ale o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatan byli tam czynni...”

Niestety, wiersze te nie świadczą, by ich autor wyciągnął wnioski z tragicznych zdarzeń rabacji. Góruje w nich wyrzut: „Naszą przyszłość cofnęli wstecz...”. Ton modlitwy ma zresztą to do siebie, że nie brzmi przekonująco, — przyzwyczajali nas do tego ci, którzy się modlą głośno, a nieszczerze...

Ze swojej strony pozwolimy sobie przytoczyć innego poetę, bynajmniej nie Jasieńskiego czy innego „komunistę”, i bynajmniej nawet nie „postępowego”. Przecież żył on dla ludu wiele sympatii — tego uczucia naiwnego, nieokreślonego, które jednak o tyle wyżej stoi od rygoryzmu moralnego „Tygodnika”, — choć tak odległe jeszcze jest od radykalizmu. W „Weselu” Wyspiańskiego jest scena, gdy Gospodarz i Pan Młody, szlachcice z dziada pradziada, dziś bratający się z chłopem, przebrani w sukmany, w chwili zamyślenia, zdala od zgiełku zabawy, wspominają krwawy „rok czterdziesty szósty”:

Pan Młody: Myśmy wszystko zapomnieli;
Mego dziadka piłą rżnęli...
myśmy wszystko zapomnieli.

Gospodarz: Mego ojca gdzieś zadgali,
gdzieś zatukli, spopychali;
kijakami, motykami
krwawiącego przez lód gnali...
Myśmy wszystko przebaczyli,
Myśmy wszystko zapomnieli...

Ze swej strony pozwalamy sobie poddać ku chrześcijańskiej rozwadze tę stroniczkę polskiej literatury wszystkim, którzy przecież muszą być rasowymi szlachciami, bo przypominają sławne powiedzenie o świetnym rodzie Burbonów: NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYLI, NICZEGO NIE ZAPOMNIELI, NICZEGO NIE PRZEBACZYLI.

Zygmunt Kałużyński

gami pali. Jednych tu, jak i gdzie indziej, wojna wypala na najsłabsze kruszec, innych demoralizuje, wypacza, łamie.

I oto w krwawą noc hitlerowskiej okupacji, najpierw kilku, a potem kilkunastu młodych synów wsi postanawia się uczyć. Wśród nich jest były słuchacz Uniwersytetu Ludowego w Gaci, wychowanek Solarza — jego to inicjatywa; ale kto z nim chce w zgodzie żyć, ten nie powinien o nim mówić, a tymbardziej pisać. Taki już on jest ten solarzowy Gacak i dlatego ja muszę się bardzo pilnować, żeby pisać o jego wsi, o nim samym ani słowem nie wspomnieć — co jest naprawdę nie łatwo.

Rozjeździł się wokoło, wyszukał profesorów, którzy tu i ówdzie siedzieli zamaskowani, i rozpoczęła się nauka. Szkoła ta nazywała się — komplet tajnego nauczania, klasa I gimnazjum. Za rok przekształciła się w klasę drugą, a do pierwszej przyszli nowi itd. Oczywiście nie szło to ani łatwo, ani szybko. Bywało różnie: uczyli się w izbie, czasami na strychu, często w stodole, a pewien czas musieli zbierać się w lesie i tam, w obliczu ciągłego niebezpieczeństwa wyspy, leżąc brzochem na miękkim mchu w okolo siedzącego po chińsku profesora, trzeba było odwalac gimnazjalny program.

Niemcy pokonani. Powstaje Polska. Można wyjść z konspiracji. Zespół przestaje być tajnym kompletem. Uczyć się chcą wszyscy, nauki pragnie cała młodzież wiejska. Tylko gimnazjum na miejscu, to żywiołowe pragnienie zdoła zaspokoić.

Zorganizować gimnazjum!...

Jest duży gmach szkoły powszechnej — do południa powszechna, po południu gimnazjum. Ale co z tymi, którzy w tajnym komplecie gimnazjum przerobili?... Więc i liceum!...

Kilku nauczycieli jest — ci, którzy prowadzili tajne komplety. Ale na gimnazjum i liceum trzeba ich grubo więcej. I zaczęło się polowanie na pedagogów. Okazało się, że łatwiej jest zbudować najwspanialszy gmach dla gimnazjum, niż skompletować dla niego ciało pedagogiczne. Ileż ci szalenych ludzi, którzy odważyli się gimnazjum we wsi organizować, mieli kłopotów z wyszukaniem personelu pedagogicznego, ileż ich to kosztowało trudu i czasu — wprost nie do uwierzenia. Kiedy mi o tym polowaniu na profesorów po całej Polsce

opowiadano, to chciało się śmiać i płakać. Łódź, Warszawa, Poznań, Kraków, trzeba było objechać kilkakrotnie.

Skompletowali wreszcie jakieś ciało pedagogiczne. Szkoła ruszyła. Uczniów masa — wala się dzieci chłopskie ze wszystkich okolicznych wsi. Sama pierwsza klasa liczy około stu — robi się dwie równoległe. Klasy starsze, aż do drugiej licealnej włącznie, są też prawie pełne. Wprowadza się opłaty, bo chociaż gimnazjum upaństwowiono, to i tak trzeba, — przecież z pensji nauczycieli nie wyżyje. Wykańcza się na gwałt dom dla nauczycieli, bo nie mają gdzie mieszkać.

Tymczasem ktoś z pedagogów nie wytrzymuje — ucieka. Znow Łódź, Warszawa, Poznań, Kraków... znajdują. Ale ten nowy, po trzech miesiącach, też wyjeżdża. Wielka szkoda, bo doskonale pasował do wsi i tej szkoły. Wzywają go do ważniejszej pracy. Zresztą dostaje pięciopokojowe mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, elektrycznym światłem, gazem i łazienką i to w wojewódzkim mieście, a więc: teatry, kina, koncerty, biblioteki, czytelnia... A tu miał pod słomianą strzechą pokój z kuchnią, karbidówkę kopącą i śmierdzącą, błoto po kolana już o krok od domu i pensję kilkakrotnie mniejszą.

Inny belfer nie może znieść chamskiej atmosfery, nie może się dopasować do chłopskiego komitetu rodzicielskiego, a więc znowu nie może pogodzić się z jego średniowiecznym tezuickim bełkotowaniem. Wyjeżdża.

Nie nie poradziś — chłopcy, a ściślej: Solarzowy Gacak, nogi za pas!... Łódź, Poznań, Warszawa...

W Warszawie jednego wynaleźli. Zgadza się, ale... największe nieszczęście, że każdy ma jakieś ale. Otóż w tym wypadku to ale jest tego rodzaju, że dom mu w stolicy cudem znalazł, nie może z nim się rozstać. Gacak kinie w duchu Hitlera, że w ten dom profesorski bomba nie trafił, wreszcie nie wytrzymuje: „Panie profesorze, niech pan na miłość boską jedzie do nas, bo jeżeli tylko dom ten pana wiąże, to dalibóg zaraz wysadzę go w powietrze”. Profesor się zgadza...

W Tarnowie wynaleźli drugiego; przyrzekł, ostateczną odpowiedź poda telegraficznie. Czeka...

Jest wreszcie telegram. Otwierają, jedno słowo... „rezygnuję”. Straszne słowo. Tele-

gram w kawałki i w drogę. Znow Łódź, JÓZEF ANDRZEJ FRASIK
Warszawa, Kraków, Poznań...

Dziś już tam jako tako stosunki się ustabilizowały. Co prawda lekcje odbywają się w dalszym ciągu popołudniu. Wykładowców jest tylko tyłu, że muszą odwać pańszczyzną nadliczbowek. Z mieszkaniami dla nauczycieli w dalszym ciągu kruchoch — tłoczą się po kilku w jednym pokoju.

Najwspanialszą zdobyczą, jaką wieś ta ostatnio upolowała, jest obecny dyrektor gimnazjum i liceum. Chłopi go uwielbiają. Jest to rzadki dzisiaj człowiek, który gorąco czuje potrzebę tworzenia szkoły średniej na wsi i rozumie istotę gimnazjum chłopskiego. Słyszałem już co prawda głosy z miasta, że się on na wsi „marnuje”, że należałoby powierzyć mu „ważniejszą” placówkę. Odebranie go wsi byłoby na prawdę straszną krzywdą wyrządzoną chłopom, którzy swą niezmordowaną pracą nad zorganizowaniem gimnazjum zasłużyli w pełni na tego człowieka. Słyszałem też, że chcą zabrać stamtąd nauczycielkę języka angielskiego — rodowitą Angielkę, jako że tak wspaniała siła w chłopskim gimnazjum nie jest w pełni wykorzystana, gdzieindziej jest bardziej potrzebna i więcej dałaby korzyści.

Jestem jednak jak najlepszej myśli, bo nie wierzę, żeby takiemu rozumowaniu uległy władze szkolne. Wierzę też, że dyrektorów, a również i personel pedagogiczny, świadomi, że wielkiej służą sprawie, poświęcą dla jej wygody i powaby wielkomiejskiego życia. Tymbardziej, że i tutaj warunki się poprawiają, bo chłopi nie ustają w pracy.

Oto przygotowany już jest materiał (od cegły po blachę na dach włącznie), na budowę budynku dla gimnazjum. Budowa rozpocznie się na wiosnę, są już pieniądze — władze państwowe, widząc wspaniały wysiłek wsi, udzieliły subwencji. Chłopi znow nie żałują dniówek, furmanek, każdy ma dzieci, każdy pragnie je kształcić, a będzie mógł uczynić to tylko wtedy, kiedy na miejscu, we wsi będzie gimnazjum.

Więc do roboty!... z całej siły!...

Inne gimnazja chłopskie rodzą się w podobny sposób. Zdarzają się i cięższe porody, bywają i carskie cięcia kończące się likwidacją. Wiele gimnazjów chłopskich nie jest jeszcze upaństwowionych.

Wielu nauczycieli ze szkolnictwa zrezygnowali, bo nie mogli w żaden sposób wytrzymać materialnie. Znam świetnego pedagoga, nauczyciela z bożej łaski. Piętnaście lat pracy szkolnej ma za sobą, ile razy mówi o szkole, zawsze z tęsknotą; obecnie jest administratorem majątku, bo z pensji nauczycielskiej w żaden sposób nie mógł utrzymać żony, dzieci i siebie. Znam świetnego profesora — wychowawcę, człowieka starszego, ale w pełni sił jeszcze. Całe życie pracował w szkolnictwie jako nauczyciel szkół średnich, długoletni dyrektor zakładów kształcenia nauczycieli, potem wysoki urzędnik w administracji szkolnej. Do szkolnictwa nie wraca. Pracuje w państwowym przemyśle skór. Nigdy w życiu w tej dziedzinie nie pracował, nie miał nic wspólnego z garbarstwem. Mimo to płaca mu tu kilkakrotnie więcej, niż w szkolnictwie, chociaż i to, jak szkoła, jest instytucją państwową (Min. Przemysłu).

I cóż dziwnego, że brak nauczycieli, że aby jednego wyszukać, trzeba całą Polskę wszereć i wzdłuż kilka razy przejechać. Nawet i w dzisiejszych trudnych warunkach ekonomicznych państwa, trzeba by nauczycielowi zapewnić minimum egzystencji za wszelką cenę, a przynajmniej należy mu się tyle, ile mają urzędnicy państwowi innych resortów. Bo jeżeli taki stan rzeczy potrwa dłużej, to dezercja nauczycieli ze szkolnictwa może się zwiększać, a wtedy i dziesięć maratońskich biegów dookoła Polski w poszukiwaniu nauczyciela nie da żadnego wyniku.

Sytuację materialną swoich nauczycieli wieś ratuje w ten sposób, że wpłaca miesięczne składki od uczącego się dziecka, lub zbiera datki w naturze. Zebractwo to powinno się jak najszybciej skończyć, bo jest dla nauczycieli upokarzające, różnie bowiem przy tych składkach i datkach bywa.

Jeszcze jedno. Moim zdaniem nauczyciel szkoły wiejskiej powinien mieć wynagrodzenie wyższe od nauczyciela miejskiego. Powinien być jakiś dodatek wiejski jako ekwiwalent za zrzeczenie się kulturalnych przyjemności i imprez miast.

Adolf Olechnowicz

„Urodzony w żdźble“^{*)} (wybór)



* * *

Urodzony w drzew szumię,
przechodzę sobie uboczem:
wiatr przynosi porę kwitnienia,
więc kwitnie dal i polne żdźbło
i ja, jak umiem.

A że sam najciszej przekwitam,
a że sam szumię w żdźble żyta —
skibo czarna, plugu ojca!
Kogo — to wiatr przynosi?
Tamtego czasu uszczknij, przywołaj, wołaj!
Jakbyś w dłonie rosy rośnej urosił.

Do poety

Wiele czasu upłynie nim nas ta chwila nawiedzi —
a wtedy zerwanej gałązce sliwiny się nie dziw:

Porzucił ją ktoś na drodze, jak zbędną,
a na niej liście zielone, zielenią się dalej, nie wędną,

a u niej dalej pod korą soki krążą,
tylko już teraz szybciej i w inną stronę podążą.

A u niej pod korą wilgotną tyle drzewiastej woni,
jeno gałązkę podnieść, jeno głowę nisko poklonić:

pięć kręgów na niej, jak krótko rosła —
a już ją siła nieznana w inną stronę uniosła.

Tak, przyjacielu, nim ciebie ta chwila minie,
pokłoń się polny w polu mojej pannie, sliwinie.

Kto piękniej, niż ty, gałęzinie przemówi,
czas ubiega — jeno się z skrzypkami polnymi uwiń!

Hej, kto pola rzewniej niż ty zawoła,
jeno się nie daj tej burzy, co nas dusi dokoła.

Maczki, 1943.

Redakcja Tygodnika „WIEŚ”
NA SKUTEK MASOWO NAPŁYWAJĄCYCH PROŚB
PRZEDŁUŻA OSTATNI TERMIN NADSYŁANIA PRAC NA
OGŁOSZONY W NR. 5 (33) NASZEGO PIŚMA

KONKURS

NA TEMAT:

„Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”

Do dnia 15 maja 1946 r.

NAGRODY:

I. — 5.000 zł. II. — 4.000 zł. III. — 3.000 zł.
oraz 20 powieści dla 20-tu wyróżnionych
w konkursie

Powitanie żyta

Święta Zofia już kłosy wywija żytom,
święta Zofio, żyta żółto jak łaki przekwitną.

Nim święty Wit kolanka policzy w zbożu
i na pola najcichszy wiatr położy.

Nim się wyszumi pora pełnego kwitnienia
i kłos się każdy wyśpiewa i w chleb zamieni.

Tak o zachodzie, po roście, zwołują się przepiórki,
albo na wschód wiosną, wiosenne obłoki — chmurki.

Na skrzydłach wiatru mieszkasz zbożowa wiosno polna —
Wozy wiatru, jadąc, żytami dzwonią zwolna.

Świątku przydrożny i dobry, pełny żytniego śpiewu,
by wicher żył nie powalił, najświętszym słowem mu przemów!

A Ty, który nie siejesz, w szumie nad polami się jawisz,
Boże polny i żytni, roś polom — jak przed wiekami błogosławisz.

Wieczorną, wieczorną godziną, najniżej głowę pochyl:
Rosa pada. Burzy nie będzie. Na listku trawy śpi motyl.

Rok ów

(fragment)

Dzika kanonada na skrzydle rzezi:
czołgi przełamują pole walki. —
Czołgi zza chłopskich chałup, z leśnych wyrębów,
przyparte do ziemi suną w wąwóz, kędy tabory,
konie, skrzypienie kół, wrzawa żołnierzy, —
popycha kolumnę, do tyłu, prędzej!
Chwila nagli! Gdy oto z horyzontu
zęby gąsienic, szczekacze ognia,
kulomioty dopadły skib i siek. —
Zaraz droga zamienia się w cizbę,
jakby ogromną bitwą obłoków, dym ściele ścierniska:
bitwa czołgów!
A ci i tamci w rozpadliny bruzd padają,
w bunkry wilgotne, skąd szmer już odlatujących Lusz.

— Matko — Ziemio! Uchroń ich rodzicielko!
Gołębie zdmuchnięte z chłopskich stodół,
kołują bezradnie nad polami, płonie wieś
i ziemia czeka, aby poległych okryć ciszą —
A słońce chowa się za góry.

W urodzie krajobrazu

Nie wiem, czy było naprawdę, czy mi się tylko śniło,
jak pod kwitnącą czereśnią śniłem czarnoooką miłość.

Brzóz białych jak welon, a jak szept ich gałęzie —
tylko jej kroki drobne, tylko jej oczy wszędzie.

Sady lśnią białe, jak idziemy i płoty —
i pełno, jak szczęścia, nadmuchanej wiatrem pozłoty.

Już wiader dzwonki wiszą u studzien,
mijają dzień przedwieczorny — ludzie —

i idą z pełnymi konwiami i chłodna woda lśni:
A ty obłokiem nie przechodź! Tylko mi, młoda, nie miń.

W ziemi ruskiej

Gdy mijam Zarwanicę, tylko niwa się mieni,
tylko żyto drży kłosem po odlocie jeleni.

Łas przeszedł i ucichł: wyplakał Sokółkę kalinową,
ruską pannę, kukurydżę, zostawił wdowę.
A tu potok srebrzy, a tu rzeczulka,
w wiankach zieleni raz wraz wykwiła kukulkę;
a tu krzykiem słońce wołają pawie,
łan koniczyzny, obłoki na murawie.

Południe: skrzypki wołają na wesele,
konieczyna zakwita, zawitały z muzyką trzmiele!

A tu wrony okrakują kurhanki —
hej słowiczku, Bohdanie! Już nie ma... Rano mgieł wianki.
1943.

*) Tom poezji pod tym tytułem ukaże się wkrótce nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich.

MACIEJ CZUŁA

Pamiętnik

Kilkanaście kilometrów na wschód od Krakowa leżą dwie niedaleko od siebie położone wioski: Branice i Ruszcza. Właściciele pierwszej — Badeniowie nie odznaczali się niczem, zato jeden z właścicieli Ruszczy, Paweł Popiel, brat Arcybiskupa warszawskiego, zwany z powodu zżyty długiego organu powonienia „nosatą ekscelencją” znany był w swoim czasie (połowa 19 wieku) jako jeden — łącznie z profesorem Szujkim i publicystą Koźmianem — z założycieli stronnictwa konserwatywnego, czyli stańczykowskiego, a którego programem było: bezwzględne zwalczanie powstań i wszelkich ruchów patriotycznych w Narodzie, zupełna lojalność wobec tronów i zaborców (przy Tobie najjaśniejszy Panie stać chcemy!) oraz tępienie młodego jeszcze wówczas ruchu ludowego i robotniczego.

W tym celu założyli stańczycy w Krakowie swój organ: dziennik „Czas”, redagowany przez Popiela.

S.P. ojciec mój dzierżał w tym czasie od hr. Badeniego prawo przewozu przez Wisłę, za co otrzymał dom na mieszkanię, dwie morgi pola i dużą ilość gajów i krzaków nadwiślańskich, w których można było wychować parę krów i wszelkich innych zwierząt domowych. Krzaki te były doskonałym schronieniem dla przemytników, którzy za niedaleką granicę Królestwa przemycali w bydłych „macherynach” czyli błonach drogi tam spirytus i tytoń, przynosząc wzamian poszukiwaną u nas dobrą herbatę i machorkę. Ze zdarzało się przytem zastrzelenie odważnego przemytnika, to trudno. Gdy jednego brakło, odważali się na ten ryzykowny proceder inni i przemytnictwo ślać kwitło. Owe gaje, krzaki i brzegi Wisły są dla mnie najmiłszymi wspomnieniami, były bowiem moim „przedszkolem”, w którym zawarłem przyjaźń z dość dziką jeszcze przyrodą, ptactwem, rybami, leśnymi zwierzątkami, węzami, jaszczurkami, motylami i całym przebogatym dziedzictwem natury, wśród której było mi tak błogo i dobrze, że mi stroskana matka nieraz coś do jedzenia do gaju przynosiła — sama słuchając świergotu ptactwa i przekomarzając się z wiewiórkami i łasicami. Wszystkimi okruszynami je wykarmiłem, sam zapominając o jedzeniu! Ze przy przedzieraniu się przez krzaki pokaleczyłem nogi, potargałem ubranie, umorusałem się niby cyganiatko, choćby o tym myślał!

Miałem usposobienie dość wrażliwe i marzycielskie, to też już w zaraniu mego życia interesowało mnie wszystko, na co patrzyłem, co widziałem, a zwłaszcza czego dosięgnąć nie mogłem i dlatego pewnego razu oświadczyłem matce, że nieprzeprata chęć chwycić tak jak kota czy wiewiórkę za ogon, także i słońce. — Ta piękna, duża, ognista, czerwono zabarwiona kula,

interesowała mnie niewymownie zwłaszcza wieczorem, gdy się chyliła za domami i stodołami ku zachodowi. Ale jak ją dogonić, w którym miejscu zachodzi?

I gdy się wieczór zrobił, a czerwona kula ugięła się ku wierzchołkom drzew, puściłem się pędem w jej stronę, aż znużonego otulił mrok; słońca już nie było, a ja zapomniawszy, w której stronie dom, biegłem tam i sam, wreszcie zmęczony położyłem się i usnąłem. Obudziłem się dopiero na rękach ojca, poszukującego mnie już od godziny, za co dostałem kłapsa, ażeby mi wywietrzały z głowy „głupie figle” — gonienie wiatru w polu.

Sielanka moja z przyrodą skończyła się jednak niedługo, gdyż ojciec zakupił za Wisłą w Grabiu 2 morgi pola z domem i tam się przeprowadziliśmy. Było tego za mało, aby z tego żywić, a za dużo żeby umrzeć z głodu, więc cierpieliśmy biedę, póki ojciec, który był cieślą nie znalazł zajęcia w Krakowie. Bo ojciec gdy chciał, był dość obrotny. Za kawalerskich czasów chodził na flis i spławiał z innymi zboże i sól do Gdańska, skąd wracał do domu brzegami Wisły — rdy z towarem jechali, gromadziły się ubogie kobiety nując flisakom:

„Flisackowie mili, dajcież nam też soli”.

Więc też nie jeden okrucieństwo minerału przenosił się rękami flisaków z galaru do zapasów kobiet. Na flisie nauczył się czytać i pisać. Matka czytała tylko z książki do nabożeństwa. Rodzice byli ludźmi rozumnymi, ale starej daty, oporni na wszelkie nowe prądy społeczne.

Grabie było wioską niedużą, biedną, gospodarz 10-morgowy był już bogaczem. Jedyną osobliwością w niej był stary miodrzewiowy kościółek, trzy żydowskie karczmy i dom parafialny z dużą izbą, gdzie organista uczył młodzież bogatszych gospodarzy czytać i pisać — a w r. 1895 założono w niej już „rządową” szkołę, w której wykładał nauczyciel. Miałem wówczas lat sześć, więc i mnie ojciec do niej zapisał. Izba szkolna była w budynku drewnianym, obszerna, ale niska, więc też i zaduch w niej, gdy się kilkadziesiąt dzieci do niej zeszło — był duszno. Szkoła była 2-klasowa i prowadzona była na bardzo niskim poziomie. Uczyliśmy się pamięciowo, na zeszytach i tabliczce łupkowej, czytania, pisania, rachunków i rysunków. Podręczniki szkolne wydawane przez Galicyjską C. K. Radę Szkolną Krajową były na poziomie najniższym. Uczono dużo o Rudolfe Habsburgu, Cesarzu i Cesarzowej Elżbiecie i Monarchii Austriacko-Węgierskiej, a dopiero na szarym końcu w skąpych ustępach coś z historii polskiej. Nauczycielem był Michał Rączka, dobry człowiek i zdolny pedagog, co skoro w ubogich ramach programu szkolnego nie wiele nas mógł nauczyć. Niedługo rozpił go miejscowi gospodarze, którzy

mieli sobie za zaszczyt uczyć w ten sposób „prefesura”, że mu zalecał popijać z sobą i razu pewnego przyszedł do dzieci w tak mało przytomnym stanie, że oddał przy dzieciach na ścianę dług naturze. Ktoś o tem doniósł inspektorowi szkolnemu, a gdy ten zjechał na wizytację i znowu nauczyciela zastał pijanym, zawiesił go z miejsca w nauczaniu a biedny nauczyciel Rączka — którego chłopci jakoś nie bronili, musiał się wynieść z Grabia i niedługo skończył samobójstwem.

Załowaliśmy go wszyscy, bo mimo nieśczęsnego nalogu był człowiekiem oddanym nauce, a ja osobiście zawdzięczałem mu dużo.

Po nim przybył na posadę nauczyciela Stanisław Leitner, również dobry nauczyciel, choć może mniej od pierwszego wszechstronny. Za jego czasów wybudowano w Grabiu nową, piętrową, 4-klasową szkołę do której już nie uczęszczałem. Lekcję szkolną zaczynaliśmy zawsze pieśnią „Zdrowaś Mario Boga Rodzico” przy wtórze skrzypiec, poczem śpiewaliśmy tak przed — jak i po nauce rozmaite pieśni ludowe.

Była w szkole mała biblioteczka Tow. Oświaty Ludowej i z niej wypożyczaliśmy sobie do domu, zwłaszcza w zimie — kiedy było więcej czasu do czytania rozmaite książeczki. Były one bez wielkiej wartości literackiej, ale takie sobie powiastki „dla ludu”, jakich napisano tysiące, a której autorami byli przeważnie księża i panowie z miasta. Ale znalazła się i lepsza książka, np. powieść Kraszewskiego w guście np. „Obrona Częstochowy”, „Stara baśń” a nawet poezje naszych wieszczów, które niebardzo rozumiano, a więc nie kwapiono się z pożyczaniem. Oprócz nich płytały się po domach rozmaite „historie o pięknej Magdalenie”. O siedmiu mędrcach”, „Robert diabeł”, „Płacz Ojców Świętych” itd., a ojciec przynosił stale sprzedawane w zakrytych „Posłaniec Apostołstwa” i „Głosy katolickie”, które, gdy zwyczajnie w niedzielę po nabożeństwie odczytywał, musiało być w domu cicho, jakby mak siał.

Przed południem chodziło się do szkoły, a po południu trzeba było paść krowę koło domu, po żniwach na miedzy i na ścierisku, a po św. Michale, gdy po potrawach wolno było paść wszędzie, gnałem krowę daleko od domu na wielkie łąki za wsią, gdzie pastarze z całej wsi tyle nazganiiali bydła, że wyglądało ono na tle traw, jak wielkie czarne plamy!

Co też ta działość obojga pici, starsza i młodsza przy tym paszeniu bydła nie wyrabiała! Jedni wystrzygliwali fujałki z łożyny i pieszczeli na nich przenikliwe, drudzy wyrabiali fajeczki z łubczyku i smrodzili palonymi w niej liśćmi wierzbowymi i buraczanymi, a inni — oli ryby

w stawach, piskorze w bagnach, bili się i hałasowali co nie miara, wdrapywali się na szczyty drzew i wybierali jaja lub pisklęta ptakom. Ujeżdżanie koni a w braku tychże, krow, urządzenie rozmaitych gier, jak w przerywanego króla, w świnkę, w kregle — należało do codziennych zajęć „włusów”. Kulminacyjnym punktem tych zabaw było zwyczajne pieczenie ziemniaków, przytem jako materiał opałowy służył najczęściej suszony bydłocy nawóz.

Ponieważ zawsze miałem nieprzeprata chęć do czytania, brałem sobie za krową książeczkę do nauki, lub jaką inną „zabawną” czy powiastkę — co skoro inni pastuszkowie ciągnęli mnie do zabawy, nie do czytania. Ledwo żem się im czasem opędził i robiłem to, w czym się rozkochałem, tj. czytałem co mi do ręki wpadło.

Ale w takiej zapadłej i zabitej od światła deskami wsi, jaką było Grabie, trudno było w owych czasach „najgłupszą” książkę. Biblioteczkę dawno pochłoniętem, tj. nie było w niej książki, którejbym nie znał, ale co dalej czytać? Były już pierwsze gazetki polityczne, jak „Wieniec”, „Pszczółka”, „Przyjaciel Ludu”, „Ojczyzna” i inne, ale prenumerowali je nieliczni starzy chłopcy, którzy mi je z rąk wyrwali, gdy się im chciał przypatrzeć. Czytał gazety i książki ksiądz i nauczyciel, ale ci także nie kwapili się pożyczać „smarkaczowi”. Jedynie nauczyciel Leitner pożyczał mi czasem stosowną do mego wieku książkę — ale i tak nie miałem takiej, jakiej chciałem i jaka mi się podobała.

Skończył się rok szkolny, uzyskałem też przy egzaminie stopień bardzo dobry, a w nagrodę otrzymałem książeczkę cztery a z napisem „Nagroda pilności” i z tyłem „Pamiętniki Generała Józefa Kopcia na Syberii”. Przy egzaminie z drugiej klasy dostałem ładną książkę do nabożeństwa, a potknąłem się i otrzymałem stopień dostateczny przy egzaminie z klasy trzeciej, co się jednak stało raczej z winy ks. Proboszcza, a zarazem katechety ks. Skwarczyńskiego, niż mnie. Ks. Skwarczyński, aczkolwiek człowiek mądry, i wybitny kaznodzieja, miał tę małą wadę, że na godziny przeznaczoną na naukę religii zwyczajnie nie uczęszczał, nie prawie dzieciom z dziedziny religii nie wykładał, więc też i dzieci niewiele, a te i nic o istocie religii pojęcia nie miały.

Nagle zjeżdża do szkoły dziekan Wierlicki na wizytację i ks. Skwarczyński musiał w jego obecności zadawać w tej materii dzieciom pytania, na które one ani raz nie odpowiedziały. Zapytał się i mnie o coś i też nie wiele więcej od tamtych wiedziałem. Ksiądz błąd i czerwieniał na przemiany ze wstydu

JANINA SOBOTNICZOWA

Dramat, którego nie widzimy

Praga czeska, w marcu

Polska publicystyka, polska prasa literacka a zarazem prasa codzienna systematycznie nie poświęca dostatecznej uwagi t. zw. problemom śląskim. Ciągła ignorancja a zarazem beztroska nieznajomość tych spraw, przyczynia się do tego, że „problem śląski”, wygrywany jest coraz mocniej w karkołomnych pretensjach pewnych zagranicznych kół na forum międzynarodowym. Ten stan trwający w Polsce, wykorzystywany jest przez coraz gwałtowniejsze wystąpienia propagandowe, nie mające dotąd precedensu w dziejach naszych stosunków z bratnim narodem czeskim.

„SZCZUCIE” W PARLAMENCIE PRASKIM

W kilkanaście dni po odejściu do Warszawy pierwszych członków delegacji polskiej do rokowań z Czechami byłem obecna na posiedzeniu tymczasowego parlamentu republiki czeskosłowackiej w Pradze. W Pradze modny jest dzisiaj Śląsk i owe „problemy” śląskie. Modne stało się dla propagandy czeskiej aby wszędzie, ciagle i stale deklamować o „czeskim prawie” do wszystkich ziem śląskich. W normalnych stosunkach pewne stale powtarzane wypowiedzi oficjalnych polityków czeskich na tematy śląskie, wywołałyby bardzo poważne sprzeciwy dyplomatyczne i musiałaby być uważane jako wyraźny atak na państwowe terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Dziś Polska demokratyczna, okazując swe dobre chęci porozumiewawcze względem słowiańskiego narodu czeskiego, czyni tak, jakby o tych wszystkich niestowiańskich, grubo imperialistycznych i obraźliwych wypowiedziach polityków czeskich i propagandy czeskiej nic nie wiedziała. Być może, że Czesi dopatrują się w takim stanowisku Polski jej słabości i zupełnej bezmocy. Ale takich pomyłek czeska polityka popełnia już dawniej więcej. Mylił się nawet kiedyś w swych

horoskopach prezydent Benes, kiedy przebywając już na emigracji w Londynie wysłał do Emila Hachy gratulacyjny telegram z powodu wybrania tegoż Hachy... czeskim prezydentem z woli Adolfa Hitlera. Fakt ten jest znany, wiadomość tę zresztą opublikował swego czasu praski tygodnik czeski p. t. „Prziotomnost” (Przyszłość). Otóż będąc w parlamencie praskim ze zdziwieniem wysłuchałem dwóch czeskich postów, znanych pravicowych działaczy, posła narodowo - socjalistycznego Franciszka Uhlirza i posła czeskiej klerykalnej partii ludowej niejakiego Pawlika. Obydwa ci posłowie, aby maskować system tyranii i policyjnego knuta na Zaozliu, zaczęli szermować nieprawdopodobnymi argumentami w rodzaju takich, że autochtoniczna ludność polska na Zaozliu przybyła na ten teren z Polski, że ludność ta musi być wyrzucana na Zaozlie i t. p. Aby jednak na miejscu stwierdzić prawdziwość argumentów czeskich szowinistów, postanowiłem na drugi dzień po wygłoszeniu tych bzdurstw, wyjechać osobiście na Zaozlie.

SYSTEM TYRANII I POLICYJNEGO KNUTA

Ta sprawa jest trudna do opisanja, to nie jest sprawa, to nie jest problem czy zagadnienie... to jest jeden straszny, niekoczący się dramat. Dramat tym bardziej bolesny, że autorami jego są Słowianie... są bracia Czesi! Iu Polaków musiało już ucieszyć przed czeskim reżimem policyjnym z okregu bogumińskiego do Polski? To samo dzieje się w okregu frysztackim, cieszyńskim i jablonkowskim! Wszędzie tylko skargi, westchnienia a często łzy! I oskarżające pytania: dlaczego Polska nie robi, aby nas traktowano przynajmniej jako ludzi równych z równymi? Za czasów okupacji niemieckiej, kto był Polakiem — a tylko z takimi rozmawiałam — był zaszczytny na śmierć. Przed wejściem do

parku w Boguminie wisiła tablica z następującym napisem: cyganom, asom i Polakom wstęp wzbroniony! Czechów, Polaków ich tu niewielu, zakaz wchodzenia do parku nie obowiązywał. Gdzie był ten bierny, ślepy czech na Zaozliu przeciwko Niemcom, w czasie okupacji? W Cieszyńsku było dwadzieścia cztery szubienice... ale to byli wszyscy Polacy, to samo gdzie indziej. To są statystyki polskich ofiar i polskiej krwi. A dzisiejsze statystyki czeskie, te z parlamentu czeskiego, skąd się one wzięły? — Hm, zaraz. Jak wiadomo Zaozlie było tym krajem, który został wcielony do Rzeszy, szereg ludzi poaresztowano, w każdej wiosce wywłaszczano... a później nastąpiła akcja t. zw. Volklisty. Czesi byli także wypadki, że Gestapo tych opornych, którzy nie chcieli przyjąć Volklisty, wywołało do siebie, żądając podpisania Volklisty, albo też w wypadku odmownym, z miejsca posyłało do więzienia lub obozu. Dlatego pewna liczba ludności przyjechała Volklistę, aby ratować już tylko życie. W maju 1945 roku pojawili się na Zaozliu Czesi i zaczęli urzędować z tupetem, z groźbą, z nieukrywana nienawiścią do Polaków. Zaczęto robić różne spisy; — kto się podawał za Polaka, perswadowano lub grożono mu, aby uzyskał podanie narodowości czeskiej; — „bo inaczej nie zrehabilitujemy, a jako Polak będziecie wywiezieni do Polski, wszyscy, którzy się przyznają teraz do polskości, muszą odejść z Zaozlia do Polski, my to już mamy zagranicę zagwarantowaną. Nasi politycy w Londynie uzyskali przyrzeczenie Churchill’a, że sprawa Zaozlia dla Polski jest już przegrana”. Tak wypowiadała się administracja czeska. Pewna część ludności, obawiając się po sześciu latach nowych czarnych dni kleski, wbrew swoim przeświadczeniom zapoładała narodowość czeska. System tyranii zwycięża! A chodziło tu o tych, którzy posiadali nr. 3 Volklisty do odwołania — a więc o Polaków. A tych zrozpaczonych ludzi zaczął szczerze do takiego postępowania, jeszcze ktoś inny, był to znowu i tym razem Niemiec... dawny blockleider, dawny essmann, dawny niemiecki policjant — typ, który posiadał nr. 1 lub 2 Volklisty! Ten typ stał się naraz sprzymierzeńcem czeskiej administracji na

Zaozliu przeciwko wszystkiemu co polskie. I ten p Niemca został już zrehabilitowany, bo to przecie wszyscy tacy są dzisiaj, „czeski patriotami” i cieszą się przywilejami! Takie są zakulisowe tajemnice statystyk niejakiego posła czeskiego Pawlika, które ten „wygłoszył” ostatnio w parlamencie praskim! I to jest tylko jeden z licznych sposobów, jak „poczeszczyć” Zaozlie.

Pytam swych rozmówców w Jablonkowie o pracę społeczną.

Odpowiedź znowu nieoczekiwana. Nie mamy przecież żadnych swoich związków polskich, ani jeden związek czy stowarzyszenie polskie nie zostało przez Czechów dotąd zatwierdzone. Zilustrujmy przynajmniej to na kilku przykładach. Mielimy swoją „Macierz Szkolną”, która została założona na Śląsku Cieszyńskim jeszcze w czasach austriackich. Zakładali ją Sienkiewicz, Ossuchowski i inni. Była ta „Macierz Szkolna” w pierwszej republiki. Dziś jej działalność Czesi zawiesili, bo poseł Uhlirz wniósł w parlamencie praskim interpelację przeciwko polskiej „Macierzy”. Pan Uhlirz, kół to taki? Dawny nauczyciel czeski, szowinista, który już w pierwszej republiki „szczerzył” zawsze przeciwko polskiemu szkolnictwu na Zaozliu. Dziś po powrocie z Londynu p. Uhlirz robi to z pełnym impetem, a ponieważ jest dysponentem rozkazów w czeskim ministerstwie oświaty w Pradze, łatwo zrozumieć co ten pan dla dobra polskiego szkolnictwa na Zaozliu robi. Ostatnio ten sam pan poseł i dzisiaj już także za antypolską pracę książkową doktor filozofii — wydał nakaz natychmiastowego zamknięcia wszystkich polskich ochronek na Zaozliu. Tak prezentuje się działalność antypolska czeskiego faszysty Fr. Uhlirza, posła parlamentarnego i autora ostatnio wydanej w Mor. Ostrawie książki p. t. „Nasze Słeszko” (Nasz Śląsk), która jest dobrym przyczynkiem do burzenia przyjaznych stosunków polsko-czeskich. Czeska administracja na Zaozliu, dopinowana przez Uhlirza urządza sobie pogromy nauczycieli polskich. Ponieważ np. w gminie Koszarzyskach prawie wszystkie dzieci zapisała ludność do szkoły polskiej, postanowili temu Czesi przeciwdziałać. W czasie lekcji wchodzi do szkoły żandarmeria czeska i

z końca XIX w.

oburzenia, w końcu ryknawszy głośno „śladaj osła” i sam także sapnąwszy, usiadł. — W jaki sposób ks. Dziekan dziękował później ks. Skwarczyńskiemu za budującą godzinę religii, nie dowiedziałem się, za to ks. Skwarczyński pamiętał mi moją wyspę dobrze, to też przy egzaminie otrzymałem wobec jego stanowiska — stopień tylko dostateczny. Za to egzamin z klasy czwartej wypadł już lepiej — bowiem stopień otrzymałem znowu bardzo dobry a i nagrodę pilności w postaci grubej książki, do nauki dopetniającej otrzymałem.

Ale ks. proboszcz miał widocznie do mnie — mimo wszystko — jakąś słabość, bo niedługo wziął mnie do kościoła za swego ministranta. Usługiwałem sam codziennie księdzu do Mszy Św., za co dostawałem 20 halerzy tygodniowo, a niskie wynagrodzenie nagradziłem sobie popijaniem wina na plebanii, którego mi młoda gospodyni, gdy w ampułkami po niego przyszedł, nie załowała. — Ale przy tym służeniu do Mszy Św. spotkała mnie druga wyspa.

Oto zjeżdża na wizytację Grabskiej parafii sam ksiądz Biskup krakowski i kardynał Puzyna. Było parady co nie miara. Specjalnie wystrojona banderia krakusów eskortowała ks. Biskupa z ostatniej parafii do naszej, a ks. Proboszcz wysłał gospodynię w góry po pstragi, które ks. Biskup bardzo lubił.

Po przyjeździe miał ks. Kardynał do parafian wzruszającą przemowę, w której przestrzegał przed wierzaniem różnym wilkom w owczej skórce, co ludowi chcą wydrzeć wiarę i posłuszeństwo dla władzy, a zachęcał natomiast do przestawiania na małym, cierpliwości i wiary w dobroć Bożą, które są najważniejszymi cnotami ewangelicznymi.

Była to aż za jasna aluzja do działalności ks. Stojanowskiego i Jego „Gazetek”, znajdujących sobie coraz większy mir u ludu, a którego ks. Kardynał — jak wiadomo — nienawdził.

Nazajutrz odprawił ks. Kardynał uroczystą Mszę Św., do której miałem zaszczyt Mu posłużyć, co się jednak skończyło dla mnie dużym wstydem.

Kiedy bowiem w pewnej chwili, kładąc na stopniach ołtarza i całując z należąca czcią pierścien rybaka na Jego ręku nachyliłem się z ciężką srebrną tacą i takimże kubkiem, ażeby mu podać przy słowach „Lavabo” trochę wody na palce, nagle reka mi zadrgała, osłabła, i taca wraz z kubkiem i wodą potoczyła się ku stopom ks. Biskupa. Stworzyła się z tej mojej niezręczności przykra sytuacja dla wszystkich. Dla ks. Biskupa, bo mu oblałem szaty, dla lokaja, bo musiał ścierać dywan, i dla mnie, bo i mnie przytym

wstyd ogarnął. A wszystkiemu winien był lokaj, który mnie przedtem nie uświadomił o wielkiej wadze tacy i kubka, i nie przestrzegł przed możliwością upuszczenia. Po odjeździe ks. Biskupa, co było w lecie, nadeszła zima i ks. Proboszcz zaprzagnął po Bożem Narodzeniu chodzić po parafii po koledze, ażeby i parafian w ten sposób lepiej w ich domach poznać, i co grosiwa uzbierać.

Oczywiście, że jako „stary” ministrant, byłem upoważniony do asystowania księdzu w tak ważnej misji. Zaszczytu tego dostąpił przede mną: organista, grabarz i młodszy odemnie ministrant. Cały miesiąc trwała ta włóczka i wyzerka po bogatszych gospodarzach, gdzie sobie nierzaz i ks. Proboszcz, a nade wszystko organista z grabarzem, mocno głowę zaproszyli, mnie jednak urzekła z tych czasów najbardziej wizyta u Macieja Szarka (1826—1904) w Brzegach, znanego, cenionego i pierwszego w tych czasach poety i pisarza ludowego.

Mieszkał Szarek — jak wszyscy, w małej, słomą krytej chałupinie, sprzęty w izbie były także nielepsze niż ładniejsze, niż u innych chłopów, ale zwracała uwagę odrazu w izbie stojąca duża politurowana szafa, której po otworzeniu nam jej przez gospodarza, sam ksiądz nie mógł się nadszwić, — była bowiem zaopieczona samymi książkami, niekiedy pięknie w skórę oprawionymi, a gazet, broszur i różnych szpargałów tyle w niej sterczało, żeby ani za tydzień wszystkiego nie zdołał oglądać! Sam Szarek był już wtedy blisko 80-letnim starcem. Był wysoki, szczupły, nosił się zawsze w sukmanie, a zdobiły go ładne bokobrody. Pisywał po różnych pismach, wierszki i opowiadania prozą, a był także dobrym mówcą wiecowym. Ponieważ widział, że łakomie patrzę na jego książki, podarował mi jedną „o Waligórze, Kruszykale i Wyrwiebie”. Później, gdy go odwiedziłem, sprezentował mi jeszcze „Tajemniczą wyspę” Verne’a, ale gdy go dalej chciałem wykorzystywać, odmówił mi dalszej darowizny, — mówiąc, że temu też książkę darmo nie przychodzi, że zresztą powinien zabierać się do nauki i takie co uczą czytać książki, a nie same opowiadania, które dobre są dla starszych, a nie dla dzieci.

A może i miał rację, stary ludowy poeta Szarek?

Uzbierałem sobie, chodząc z księdzem po koledze, trochę grosiwa i zacząłem się poważnie zastanawiać nad dalszym moim losem — tymbardziej, że i szkole ludową ukończyłem i uczyć się już dalej nie mogłem. Mogłbym się oczywiście dalej uczyć w pobliskich Niepołomicach, Wieliczce lub nawet w Krakowie, ale

to mnie na naukę posle? Kto za mnie ją zapłaci? A rodzice nie rozumieli, co to jest dla dziecka nauka wyższa i jeżeliby się zgodzili, to może najwyżej na pójście do terminu na szewca, krawca, stolarza, czy innego mistrza, ale nie do szkoły, zwłaszcza gdyby płacić za naukę należało. Tymczasem jednak zakazali mi marzyć o nauce czy nawet o terminowaniu, bo chcieli, żebym coś dla nich zarabiał i dlatego kazali mi chodzić „na pańskie” i do rzniecia przecia do prusaków, którzy, wydzierżawiając nadwiślańskie tereny pod uprawę wikliny, wycinali ją i wysyłali wagonami do Niemiec.

Nędzne to były zarobki po 50 i 60 halerzy dziennie i robotnik przy podobnej pracy więcej zdarł butów i ubrania niż zarabiał, ale ponieważ był ogólny brak pracy, wszędzie ludzie chodzili do takiej pracy z kromką suchego chleba i jajkiem lub lyżką powideł na cały dzień. Rychło spostrzegłem, że to nie jest żaden zarobek, ale ordynarny wyzysk robotnika przez niemieckiego i niestety polskiego pracodawcę, ale na razie rady ni-jakiej nie było.

Ażeby jednak nie pracować za darmo, zacząłem namawiać rodziców, żeby mnie dali jednak do terminu, to im ulżę w stawie, bo pójdę z domu i utrzymywał mnie będzie majster. I to się trochę rozdzicom spodobało, bo w domu była — jak zresztą z małymi wyjątkami w całej wiosce — bieda. Najgorsza, była zima i przednówek. Gdy brakło zboża, piekło się chleb, gotowało kluski i piekło placiki z jeźmieniem i ziemniakami, których było więcej i były tanie. Czasem ziemniaki niedość przed mrozami zabezpieczone przemarzyły, stawały się słodkawe, co rodziców martwiło a mnie cieszyło, bo sobie mogłem bodaj słodkiego ziemniaka zjeść, gdyż się cukier w domu rzadko, czasem tylko w niedzielę, znajdował na stole.

Kiepskie, proste, nawpół jałowe jedzenie było następstwem pierwotnej, nieudolnej gospodarki i małej zapobiegliwości chłopów. Gospodarowano po staremu z ojca na syna, to też zamiast drzew owocowych rosły koło domu, wierzyby, najwyżej dzikie grusze, w polu perz i inne chwasty przyguszały zboże, a źle żywione, nigdy nie czyszczone bydło dawało mleka zwyczajnie tylko na domowe potrzeby i o sprzedaży nie było co myśleć.

Domy były drewniane, niskie, kryte słomą, po części bez kominów i bez podłóg, o małych okienkach i pojedynczych, na skutek czego w takiej izbie był stale półmrok, a w większe mrozy marzła woda. Jeżeli chałupa była kurna, t. zn. bez komina, które jeszcze pamiętam, ludzie

żyli w niej jak potępiency. Dym z pieca wychodzący na izbę smolił ściany i wszystkie graty w niej się znajdujące, przenikał wszędzie, a przede wszystkim atakował oczy mieszkańców, którzy w takiej chwili chodzili po izbie z pochylonymi głowami, ze łzami spływającymi im po policzkach.

Jak w takich warunkach mogli ludzie wtedy żyć i pracować — było dla mnie zawsze zagadką.

Wnętrza domu urządzone były nader prymitywnie. Łózko, stół, ławki koło ściany, skrzynia jaskrawo pomalowana, żerdź na ubranie, parę bohomażów papierowych imitujących świętych, oto całe umeblowanie mieszkania. Osobnym „meblem” był wielki piec chlebowy z wystającą nalepą, na której pod tzw. trójnogiem „dymorkami” warzyło się strawę dmuchając co chwilę, żeby ogień nie wygasł, gdyż dym nie ciągnął do góry, tylko się kręcił koło garstków. Domy z kominami i kuchenkami zaczęto stawiać gdzieś w końcu 19-go wieku, ale i ta nowość przechodziła pewne fazy. Najpierw nieśmiało zaczęto pleść komin z przecia oblepiając go gliną. Gdy jednak stał się niepraktyczny z powodu łatwego zapalania się, zaczęto budować kominy z cegły, ulepszając je co jakiś czas.

W domu moich rodziców był zegar ścienny z kukułką, kanarek w klatce, który — jak nam się przynajmniej zdawało — śpiewał razem z ojcem ranne godzinę. W innych domach tę samą rolę co zegar na ścianie spełniały zegary słoneczne na progu domostwa. Najgorzej było we wsi z czystością. Chociaż Wisła przepływała obok, kapała się w niej tylko młodzież, bo starzy prawie nigdy się nie kąpali. Zamiast do ustępów, które zaczęto stawiać na rozkaz władz w latach 1890 — 95 — chodzili ludzie z naturalną potrzebą za ścianę, do stajni, i gdzie popadło. Ponieważ w dodatku w domach nie było podłóg tylko tak jak w stodole ubite klejiska, a przytem często stało w izbie cielatko lub prosiatko, smród i zaduch panował w takich domach nie do opisania, a wysiad zatem gnieździły się choroby. Tyfus, płamisty, ospa, febra, kółta u kobiet, zabierały zawsze dużo ofiar. Umierała przeważnie połowa urodzonych dzieci. Przyczyniały się do tego brak higieny i najprostszymi środkami do utrzymania czystości jak ręcznik, miednica, mydło i t.d. Choroby grasowały, a doktora nikt nie wzywał. Leczyli chorego ziołami, puszczeniem krwi, odczynianiem uroków nad chorymi i to było całe leczenie. Uniwersalnym lekarstwem był także psí smalec którym smarowano lub dawano pić choremu.

(c.d.n.)
Maciej Czula

aresztuje tamtejszego nauczyciela polskiego Zuczka. Działo się to prawie w czasie mojego pobytu w Jabłonkowie. Na drugi dzień dowiedziałem się o podobnym wypadku, jaki wydarzył się w tym samym czasie w gminie Kojkowice. Tam znowu polskiemu nauczycielowi Gójnickowski odebrano t. zw. „świadećstwo lojalności” i kazano mu uczyć w szkole. I to tak dzień w dzień. I na wszystkich odcinkach życia! Chce młodzież polska odegrać sztukę w tej czy innej miejscowości, to najpierw się jej powie, że równocześnie musi odegrać i czeską sztukę, ale potem przedstawienie się zakazuje! Chce zaimprovizowany chór nauczycieli polskich urządzić wieczór pieśni polskich, też się tego zakazuje. Zacznie wybitny działacz socjalistyczny Sembol we Frystacie organizować b. więźniów z czasów okupacji niemieckiej, to po pewnym czasie pod łada pretekstem zamknie się go w więzieniu i przytrzyma tam kilka miesięcy bo byłoby źle, aby świat się dowiedział, że przecie na tym Zaozliu żyją Polacy. Tak ci Polacy żyją... lecz są pozbawieni praw, zastawiano do nich dzisiaj metody knuta, dyktatury i najpotworniejszego faszyzmu. A to obciąża konto słowiańskiego narodu czeskiego, chyba nie bez wiedzy oficjalnych czynników w Pradze?

A co na to partie polityczne? Najpierw odpowiedział jest machnięcie ręką, potem szpetne słowo, na koniec zaś taka lapidarna odpowiedź:

— Na Zaozliu nie ma polskich partii politycznych... zakazane. Wszystkie partie są tutaj czeskie, nawet partia komunistyczna ma w naszym okręgu „nasadzone” kierownictwo, składające się w 1-m procencie tylko z takich działaczy, którzy byli znani kiedyś jako nieprzejednani szowiniści, chcący za każdą cenę wynarodowić polskiego robotnika. W dodatku na terenie Zaozlia do tej partii „prze-myciło” się wielu dawnych niekomunistów czeskich, tylko dlatego, aby mogli pod płaszczykiem partii komunistycznej prowadzić czystym „robotę niszczenia”, gdzie się da i jak się da żywiołu polskiego. Wychodzi na Zaozliu i polskie pismo, ale drukowane są tam artykuły, które najczęściej piszą szowiniści czescy w Mor. Ostrawie, często nawet

urzednicy czeskiej policji. Polskie prawo do zarobku na Zaozliu jest prawie nikajkie... krzywdą, poniewieranie i gorycz! Urzędowanie... tylko w czeskim (w pierwszej republice) czeski, w czeskim był język polski), napisy także już tylko czeskie. Ba, posunęło się już do tego, że napisy na szkołach polskich muszą być czeskie, nawet oznaczenie klasy szkolnej wypisane musi być dla polskiej działki po czesku! Czy który z narodów słowiańskich popadł aż w taką megalomanię jak Czesi na Zaozliu? Czesi na Zaozliu? Byłoby na czasie, aby w parlamencie czeskim odezwał się raz bezstronny głos i podał statystykę tego żywiołu czeskiego, który jest autochtonicznym, albo który nim był w roku 1919 lub 1938! Wtedy dowiedziałby się szeroki świat innej i właściwej prawdy o uciemiężonych przez przybyłych i zadomowianych tam Czechów: ludzie polskim na Zaozliu.

Po powrocie do Pragi znowu na najżywszych ulicach miejskiego miasta wita mnie... problem śląski! Wszędzie błęta w oczy porożlepiane kolorowe afisze. Lampka górnicza na tle hut i kopalni i alarmujący napis. W Pradze rozpoczął się „Śląski tydzień”, pełnych siedem dni propagandy (od dnia 17 marca do 24 marca b. r.) za przyłączeniem do republiki — prócz Zaozlia, — jeszcze okręgu Głupczyńskiego, Kłodzkiego Raciborskiego itd. W „Reprezentacyjnym Domie” w Pradze otwarto nawet wystawę, pełną na niej swościę spreparowanej historii w wydaniu Uhlirzów i Pawlików, pełno diagramów, wykresów, „informacji” o literaturze śląskiej (czytaj: praczeskiej!), o sztuce. Chodzę i oglądam to wszystko. I widzę te kłamstwa i widzę ten furor propagandy i widzę brata Czech, jak ręką podchodzi pod dom Polski i woła: wydre, za wszelką cenę zdobede! W każdy dzień „śląskiego tygodnia” odbywają się odczyty, prelekcje, trąbienie o czeskość ziem śląskich! Inaugurację zaś tego antypolskiego i wyłącznie antypolskiego spektaklu rozpoczął wicepremier rządu czeskiego Jožka Dawid i mówił, że do Czech musi wrócić i Kłodzko i Racibórz i Koźle i jeszcze coś i jeszcze coś.

A my w Polsce się ludzimy, pokpiwamy sobie z tego, wszystkiego, czasem wspocu-

jemy, czekając, że przecie ten młodszy brat słowiański Czech zmadrzeje i zaprzestanie posługiwać się tymi metodami, którymi posługiwał się wobec Czechów Heinlein i Frank. A tymczasem Czesi robią swoje, codziennie, systematycznie od małego człowieka do wielkiego ministra. Śladam pod wieczór zmęczona w domu na Winohradach, przecinam książkę wydaną w tych dniach przez praskie wydawnictwo „Wyszehrad”. Autor nieznanym dotąd: Leopold Perzieh. Tytuł książki „Ślesko” (śląsk). Czytam: jeszcze jedno dzieło o Śląsku, znowu dzieło tendencyjne, co za teorie, aby tylko udowodnić czeskość ziem śląskich. Tak... a pod koniec książki trzy rozdziały, każdy w innym języku... w angielskim, rosyjskim i francuskim. Każdy z tych rozdziałów jest zatytułowany jedną nazwą: résumé. Treść każdej tej résumé ta sama — słowem: ziemie śląskie są ziemią czeskimi! I to się wysłała zagranicę, a my w Polsce nie umiemy nawet wydać białej książki Zaozlia dla poinformowania zagranicy o strasnym dramacie, odgrywanym się w tamtych stronach. Jeśli w roku 1942 w Izbie Gmin oświadczył minister Anthony Eden, że Zaozlie nie jest sprawą monachijską i że sprawa ta musi być uregulowana tylko między narodem czeskim i polskim, to Czesi bardzo szybko o tym zapomnieli, przygotowując dziś już całkiem jawnie wytoczenie sprawy między-narodowej Polsce w sprawie Dolnego Śląska! Nie ludźmy się, że będzie inaczej!

OBEDZIE PIOTRA BEZRUCZA

Jest dziś 20 marca 1946. Przeglądam dzisiejsze dzienniki czeskie. Wystarczy wziąć do rąk choćby tylko berneńskie „Svobodne nowiny” organ praskiego hradu. Tak, jest tutaj „oredzie” Piotra Bezrucza, o którym wprawdzie swego czasu wybitny czeski poeta Jaroslav Seifert napisał: „Bezruczu, Bezruczu, ty stary biaźnie!” — ale który w dzisiejszej republice, cieszy się ogromnym szacunkiem. Oto, co piszą „Svobodne nowiny”:

„Poeta Piotr Bezrucz na inaugurację „śląskiego tygodnia” w Pradze przestał pozdrowienie, gdzie pisze: Mam już 88 lat. Myślicie, że się pomyliłem. Toż

to nie, Mikołaj! Alesz (czeski malarz — przyp. autorki) — powiedział w 60 roku życia: podczas tych wszystkich uroczystości mnie poświęcających postarzałem się o lat dziesięć, (i zmarł w rok później). Ze mną jest tak samo. Patrzę się na życie już tak przez plot jak widzę postronny. Chciałbym jeszcze przed swym odejściem oglądać restaurację śląskiej samodzielności, zagubionej w pierwszej republice a radbym widział także pomyślnie ustalenie granic na północy... Z przyczyn gospodarczych potrzebne jest nam Koźle jako port dla węglowego rewiru wabrzyńskiego. A żądając wschodniego Śląska nie chcemy rzeczy niesprawiedliwych. W czasie plebiscytu byłby cały powiat Bielsko głosował w 90% za nami. Dwadzieścia lat w tym powiecie rządili Polacy, ale odnoszę wrażenie, że jeszcze dzisiaj moglibyśmy się tam pokusić o plebiscyt. Toż się na mnie nie gniewajcie, że się będę na „śląski tydzień” patrzył zdaleka, żyćcie wam powodzenia najlepszego!”

Tyle pan Bezrucz, nadworny poeta republiki czeskosłowackiej, wróg słowiańskiej Polski, domagający się plebiscytu w powiecie bielskim i żądający portu w Koźlu i Wabrzychu dla Czechosłowacji.

Aby zadokumentować antysłowiańskie stanowisko Bezrucza, z inicjatywy czeskich czynników miarodajnych wydanie niemieckie tłumaczenie antypolskich „Śląskich pieśni” tegoż autora w najbliższym czasie w Wiedniu. Zaś Niemiec z Czechosłowacji, literat Welskopf, wydał w tych dniach antologię czeskiej poezji w języku angielskim pt.: „Hundred Towers” w New Yorku w wydawnictwie L. B. Fischera.

W antologii tej zamieszczono najbardziej polakożercze wiersze Petra Bezrucza. Bo przecież... w Ameryce muszą wiedzieć, kto to są Polacy, którzy nam nie chcą oddać Bielska, Żywca i Krakowa!

Zaś dramat zaozliński, niespostrzeżony przez obcych, niewidziany przez swoich, zdąży z każdym dniem do nieznanego finału!

Janina Sobotniczowa

Dyskusja „Wież — miasto — regionalizm“ (III) *

STEFAN STODOLNY

Starodawne formy samopomocy chłopskiej

Znajdźmy się na wsi w czasie pożaru w którejś z zagród i zanalizujmy spostrzeżenia. Widzimy jak przy krwawej łunie pożaru uwiija się wszystko, co żyje we wsi. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, nawet i dzieci... Sąsiedzi wzięli już pod swoją opiekę chudo-bę poszkodowanego, ryczące bydło lokuje się pod dachem sąsiada, inny zabiera wie-prza, inny konie, dzieciom ratkuje chwy-tanie drobiu, który rozpłoszony błaka się wśród ludzi i rozwalonych płotów. Później zajeżdża najczęściej prymitywna sikawka, przy której kompletuje się straż pożarna, narzędzie ratunku jest wnet w ruchu. Po-szkodowany od razu znajduje miejsce dla ro-dziny u sąsiadów, od razu też mieszkańcy wsi składają mu zapomogę w postaci zboża, sia-na, słomy, bez próśb specjalnych ze strony poszkodowanego, ze skrupulatnością w ni-czym nieprzypominającą zbieranie np. kon-tyngentu. Tak trzeba, tak musi być i tak by-wało od stuleci.

Są okolice, w których do dziś jeszcze trwa zwyczaj odbudowywania pogorzalców, które wyposaża ich nieraz sówiciej niż dom ro-dzinny... Tak trzeba.

Są także miejscowości, gdzie zawsze budo-wajemu się wszyscy właściciele koni zwożą materiał na budowę bez zapłaty i to zwykle w jednym lub kilku dniach, gromadnie, z jakąś godnością, z jakimś obrzędowym ce-remonialem.

Gromadzą się wszyscy w pewnym miejscu oczekując na najstarszego, ten zaś po przy-byciu na miejsce liczy zebranych, potem da-je znak do odjazdu...

Sam zainteresowany jest jednym z wielu nie mających nic do gadania, słuchającym jak wszyscy przodownika, a jedynie po pra-cy może dać upust swej wdzięczności i za-dzwonić w szklanicę, tak jak dawniej za oj-ców bywało. Każdy kto jemu pomógł, wie, że i jemu pomożę wszyscy w razie potrzeby.

Wszystkie te akty pomocy są wyrazem wrodzonego poczucia obowiązku, czymś, czego nie przelicza się ani na złotówki ani na dolary, a co ma wiele większą wartość od tej gotowizny. Obyczaj to stary i ginący ku wielkiej szkodzi wsi.

Im wieś ma więcej przybyszów z różnych okolic, tym mniej w niej pozostałości ze sta-rodawnych pożytecznych obyczajów. Gorzej jest jeszcze, gdy we wsi są ludzie z miasta, albo tacy, którzy dłuższy czas przebywali w mieście, nasiłkli trochę kulturą miejską. Przybysz z miasta traktować zaczyna wszyst-kich przez „pan” i sam dla siebie tego żąda od wszystkich. Żeniąc lub wydając za mąż któreś ze swoich dzieci przysyła pisemne za-prośnienie, które urazi poważnych gospodarzy. No bo i cóż to? „Powiestka” na sąd, czy wezwanie do płacenia asekuracji, czy też dowód sąsiedzkiej gościnności? Więc jeśli to gościnność — to czy taka ona ma być? Za-

miast wziąć błogosławieństwo starszego człowieka na swoje młode lata żywym sto-wem, słowem przywitać sąsiada lub też tro-chę pogwarzyć? Są wsi, w których prastary obyczaj wyginał, nowy zaś: to małpowanie miasta, czy podmieścia, coś w rodzaju ta-kiego „ni to pies ni to wydra”... A jednak i wśród takich wsi poczęł się już przed wojną wytwarzać jakiś pociąg do obcej miastu sa-mopomocy.

Objawem tego były spotykane tu i ówdzie „spółki asekuracyjne od wypadków bydła”. Opierały się one teoretycznie na jakichś pi-sanych statutach, ale życie wypisało inne statuty a właściwie wytworzyło pewien zwy-czaj. „M.T.R.” przed wojną wystąpiło w teren delegację w celu zapoznania się na miejscu z działaniem tych spółek... I nie znalazło żadnej z nich... Dopiero jeden z członków tej delegacji, znający okolicznych chłopów, poprosił kogoś zaufanego ze wsi, gdzie taka spółka istniała, ażeby ten zawiadomił go o wypadku padnięcia którejś ze sztuk. Po za-wiadomieniu przyjechał i zastał spółkę przy opracowaniu bydła...

W spółce wytworzył się zwyczaj rozkupy-wania mięsa z padniętej sztuki „do ostatnie-go kila”, bez względu na to czy się ono na-daje do użytku czy też nie. To było powo-dem dla którego spółka kryła się ze swoją działalnością. Drugim powodem, może i ważniejszym tej konspiracji była oba-wa przed urzędami... Znany jest bowiem fakt, że co tylko złapie w swe tryby machina biurokratyczna, to wychodzi z niej znie-kształcone, zmieścone i niepodobne do sie-bie. Spółki jednak, o których mowa, były

zaczętkiem „Samopomocy Chłopskiej” na wiele lat przed oficjalnym zawiązaniem ZSCH. Spółki ograniczały swą działalność do terenu jednej wsi, miały bardzo małe możliwości, bardzo skromne zasoby i nie-wiadomo co by zrobiły np. w razie masowe-go pomoru bydła. Tu już potrzeba ingeren-cji gminnego a nawet powiatowego związku. Normujące się stosunki w państwie pozwa-lają przypuszczać, że kiedyś dojdzie do prze-jęcia asekuracji ognia w ręce samopomocy chłopskiej. Potem będzie ona mieć całk-iem inne sposoby i formy tegoż działania.

Dziś, gdy ZSCH ma swoje koła w każdej prawie wsi, uważać trzeba, aby ta oficjalna samopomoc, nie poszła urzędniczą papiero-wą drogą, a odwieczną drogą samopomocy chłopskiej.

Trzeba ożywić starodawny obyczaj, wpra-gnąć nowe formy, a rzeczywistość wiejska tak różna od miejskiej wyglądać będzie ina-czej. Spodziewam się, że wkrótce zamiast sprawozdań oznajmujących sucho: w spra-wie tego a tego protokół odczytano itd. czy-tać będziemy sprawozdania z prawdziwej działalności kół ZSCH np.: „Kół nasze po-mogło jednemu z nas wybudować dom, za co on każdemu z nas również pomoże. Inny z nas, któremu padło bydło ma już inne na miejsce tamtego, a młyn w którym robił jest już nasz” itd.

Takie sprawozdanie oznajmi, że Samopo-moc Chłopska naprawdę poczyni działać.

*) Patrz: P. S. Ziarnik: „Czy regionalizm” („Więś” nr. 10/38), M. Jóźwiak: „Miasto”, („Więś” nr. 13/41).

STANISŁAW MERKISZ

Nie dawna — a nowa samopomoc

ODRUCHY SERCA?

Artykuł Stodolnego powtarza mniej wię-ciej to samo co zawierał w tej sprawie re-ferat Ignacego Solarza, wygłoszony na łó-wickiej konferencji oświatowej w r. 1930.

Pierwsza rzecz, którą sugerują tak Solarz jak Stodolny w zakresie dawnych form samopomocy chłopskiej to przekonanie, że są one „wyrazem wrodzonego poczucia o-bowiązku” (Stodolny), że w przeciwień-stwie do dzisiejszych komitetów ratunko-wych „broniono dawniej popołu samo-rzutnie” (Solarz). To co było, płynęło od serca, ukazywało „prawdziwą naturę” chło-pa, w której górującym był odruch filan-tropijny, instynkt serdeczności, ofiarności i miłości człowieka do człowieka.

Tak dochodzimy do pojęcia „człowieka”. Do jego wzoru idealnego w koncepcji od-nowiceli kultury ludowej. Wzór ten zawie-ra jako główne i jedyne — wartości mo-ralne oraz warunki, że będą one wyrażo-ne bezpośrednio, elementarnie, bez żadne-go ujęcia w przepisy, nakazy, systemy or-ganizacyjne — dobrowolność, wrodzoność, samorzutność oto ich urok a zarazem urok dawnej samopomocy chłopskiej.

„To są różnice między kulturą serca, a kulturą rozumu” — jak powie Solarz. Kie-dy po 15 latach odzywają się te same po-glądy i to w obliczu nowopowstałego Związku Samopomocy Chłopskiej, trzeba rozpatrzyć je z większą uwagą i powagą.

Dawność w oczach Solarza i Stodolnego to jakiegoś wyzwolenie ze sztywnych i krę-pujących instynktów i odruchów przepisów i instytucji, będących wytworem rozumu, na rzecz odślonienia się w pełnej swobo-dzie dobrowolnego gestu dobrej natury człowieka.

Sięgamy do przykładu przytoczonego przez Solarza i Stodolnego. Dla nich oczy-wiście, udział w gaszeniu pożaru na cu-dzym gospodarstwie to sprawa pomocy, w której się wyraża przede wszystkim wro-dzony odruch serca. Jest albo go nie ma!

Kiedyś był, dziś zanika, bo coraz rzadziej chłopci udzielają pomocy pogorzalcowi i co-raz skąpiej; kiedyś nawet nowożeńców od-budowywano, stawała cała wieś, sznury fur-manek, robota zbiorowa, podzielona, kie-rowana. Oto objawy „samorzutnych” i „wrodzonych” odruchów!

A nam się wydaje, że mamy tu do czy-nienia przede wszystkim z objawami bar-dzo określonych wzorów i nakazów spo-lecznych, jakie w historii gromad wiejskich narosły wokół ich centralnego zagadnienia:

zbiorowego bezpieczeństwa wsi. Pożar to jedno z najgroźniejszych i najstarszych nie-szczęść całej gromady a nie tylko pojedyn-czego gospodarza. Dlatego od wieków wy-tworzono zbiorowe rygorystycznie prze-strzegane normy postępowania i doskona-lono zbiorowo technikę walki z ogniem.

Warto przypomnieć, że jedną z jej posta-ci (w pożarze od pioruna) było zażegn-ywanie ogorzyczmami — pochodem wokół domu z dzwonkiem loretańskim; metoda stosowana jeszcze, jak w Galicji, pod ko-niec XIX w.

SYSTEMY BYŁY ZAWSZE

Formy i metody postępowania na każdy podobny wypadek, który w granicach gro-mady stawał się zawsze wydarzeniem spo-lecznym, nie prywatnym — były znane i ustalone do szczegółów.

Kto miał las — dawał drzewo, kto len i przadł nadto — odzienie. Zwózkę — ci, co mieli konie, w ilości, którą bez zapisów w wyrachowaniu praktycznym każdy miał naprzód obliczoną. Dlatego „nie proszeni ani zwywani” szli, czy okazać pomoc (fi-lantropijna serdeczność?) to pytanie — ale na pewno szli spełnić ustalony obowiązek społeczny, który te ciężary przewidywał rozłożone na wszystkich i dlatego i Solarz i Stodolny wymieniają sznury wozów i wie-loosobową robotę pod kierownictwem.

To tylko tak się wydaje, że kiedy będzie-by się cofać w przeszłość, napotkamy co-raz wyraźniej na „wrodzone odruchy” na zachowania „naturalne” i „samorzutne” Złudzenie to rozwił Br. Malinowski, świa-towej sławy socjolog i etnolog, wykazując na przykładzie życia społeczeństw t.zw. pierwotnych, że tylko przez porównanie ze współczesnymi narodami np. europejskimi można mówić o „dzikości” i „naturalno-ści” tamtych, naprawdę jednak napotyka-my zawsze na zorganizowane systemy kul-tury, uboższe i niższe — ale systemy.

I dawna samopomoc chłopska była rów-nież systemem społecznym a nie sumą na-turalnych odruchów jednostkowych. Trud-no powiedzieć ile w tych akcjach manife-stowało się wrodzonej dobroci. Z całą pe-wnością natomiast można mówić o wielkiej wówczas zależności jednostki od społecznej struktury gromady i jej niepisanych wzorów postępowania.

Solarz podaje przykład na „ludzki” da-wniej stosunek wzajemny pomiędzy boga-tymi a biednymi chłopami — oto 20-mo-gowy przyszedł prosić „uniżenie” 6-mo-

gowego na wesele córki. I ten przykład dowodzi czego innego. Po dziś dzień jesz-cze sprasza się na wesele całą wieś. Dla-czego? Bo małżeństwo jest sprawą społecz-ną. Musi uzyskać zgodę wsi. Uczestnictwo całej gromady to znak zatwierdzenia związ-ku. Tak to za każdym razem trafimy na system, któremu jednostka się podporząd-kowuje i to przede wszystkim daje się za-observerować, a nie wrodzone odruchy, któ-re kiedyś pono były serdeczne a dziś je ja-koby wyniszczają „rozumowo — materiali-styczne” systemy.

Systemy były zawsze — to chcemy wyra-znie przypomnieć.

SAMOPOMOC WYBRANYCH

Jakże przedstawiał się system samopomo-cy chłopskiej, który Solarz i Stodolny wspo-minają jako stan naturalnej dobroci da-wnych chłopów.

Otóż (wracając do początkowego przy-kładu) pogorzalcem korzystającym ze spo-lecznych świadczeń, był tylko gospodarz. Poza tą kategorią pozostawał komornik i folwarczny. W niewyraźnej sytuacji był małorolny i rzemieślnik. Świadczenia wza-jemne obejmowały zatem ciśniejszy krąg posiadających. Aby dać na pogorzela, trze-ba było mieć. Biedny nie dał, bo nie miał. Na biednego z kolei nie dali bogaci bo w tym prototypie Zakładu Wzajemnych Ubez-pieczeń nie zostałaby spełniona zasada wzajemnych wyrównań. To rozumowanie nabierze pełnej wymowy, kiedy sobie uprzy-tomnimy, że już w latach 50-tych XIX w. w Kongresówce i Galicji połowa chłopstwa to bezrolni i małorolni.

Wypożyczenie nowożeńców przez wieś, zbiorowa pomoc przy budowie — kogo ten obyczaj obejmował? Biednych, czy raczej bogatych? Kto komu tu świadczył? Oglą-damy ewolucję wcześniejszych obowiązków rodzinnych. Przekształcały się one w obo-wiązki towarzyskie — towarzysztwa wiejskiego, które wyselekcjonowało się z bie-giem czasu z bogatych. Bo tylko tych stać było na hojne upominki grzecznościowe, ci mieli „rezerwę” i w następstwie „gest”, który zresztą nie przepadał, wyrównując się kiedyś materialnie od swoich a doraź-nie dawał satysfakcję na „honorze”. Ów zaś honor ważny znów był w kole swoich podczas kiedy od zewnątrz wzmacniała go właśnie istniejąca i pogłębiająca się nie-równość gospodarza na wsi. Dobre oby-czaje wzajemnych świadczeń w tej górnej klasie chłopskiej służyły tak wyniesieniu się społecznemu w opinii uboższej wsi,

jak fanaberie i obdarowywania wzajemne szlachty wobec innych warstw społecznych. 20-morgowiec w przykładzie Solarza kłania się 6-morgowemu z okazji wesela córki, ale za kogo ją wydać? Za małorolnego, za rzemieślnika? Nie! Wskazywać na wyjąt-kowe i rzadkie objawy samopomocy to rze-czywiście znaczy wskazywać na filantro-pijne odruchy serca. Ale to nie są przywileje dawnej tylko wsi ani w ogóle wsi. Na-tomiast umieć zobaczyć w dawnej wsi brak organizacji społecznej, która by miała siłę wpłynąć na zniwelowanie różnic społecz-nych i gospodarczych — to znaczy wskazać na nieistnienie w przeszłości powszechnej i dostatecznie doniosłej ze względu na już istniejące potrzeby — samopomocy chłop-skiej.

NIE WRACAĆ, IŚĆ NAPRZÓD!

I Solarz i Stodolny wyrażają pragnienie powrotu i rozkwitu dawnych form samo-pomocy chłopskiej, choć obaj przyznają, że wskazują często na ostatnie pojedyncze ich ślady.

Chcieliby je wrócić, bo widzą w nich ser-ce, „nieskażoną naturę”, „wrodzoną do-broć”, a które dziś według nich zagłusza rozum, strychulek organizacyjny, urzędni-cza formalistyka. Człowiek z miasta — jak powiada Stodolny — burzy stary ład, przy-czynia się na wsi do zaniku dawnych bez-pośrednich społecznych odruchów.

Cóżby oznaczało wznowienie dawnych form samopomocy chłopskiej? Tworzyła ona specyficzny system. Ważnym jest, gdzie się ten system kończył, dokąd nie sięgał? Otóż w pamiętniku chociażby Macieja Czuby wyczytać można, że dziecko zdolne a pragnące się wyżej kształcić, jak np. w wypadku Czuby — w szkole koszykarskiej aby potem w gminie nadwiślańskiej rozwi-nąć korzystne materialnie dla chłopów kur-sy koszykarskie — nie znajdujemy pomo-cy ani jednostkowej ani zbiorowej.

Chałupy na ten czas są w większości kur-ne z małymi okienkami z bydlęm w środku, dzieci w Galicji mrze do końca XIX w. co rocznie połowa. Czy pogorzalcowi odbudowują wówczas lepszy dom? Zgodnie z próbami nowatorów, którzy sta-wiają kuchnię i poszerzają okna? Na pew-no, nie!

Czy samopomoc zmierza np. do wspól-nego zakupu nawozów albo do upowszech-nienia ulepszeń naturalnych, nawozów? Gdzie tam! Kuraś i Magrys są ośmieszani

(ciąg dalszy na str. 8-9)

JAN RYBKOWSKI

Zagłada miasta Drezna (III)

(fragment pamiętnika — dokończenie)

Granica pola bombardowanego miała być prawdopodobnie rzeka, nad którą tkwiłmy w tej chwili, skrajne żyrandole płonęły pionowo nad naszymi głowami, wiatr znosił je jednak coraz dalej na wschód i my coraz głębiej przesuwalimy się do środka oznaczanego pola, które leżało przed nami i obejmowało cały zachodni brzeg rzeki.

W świetle rakiet ujrzałem pomost z grubych bali, położony tuż nad samą wodą. Jednym skokiem znaleźliśmy się przy nim. Miejsce było już zajęte, leżało tam kilku Niemców, ale nie dając za wygraną, pchaliśmy się bez pardonu. Janka ścisnęła w rękę obrazek święty i co chwila powtarzała: „Święty Tadeusz, ratuj nas!” (Jest to podobno specjalista od beznadziejnych wypadków). Niemcy sykali na nią „Ruhe, ruhe!” (cicho, cicho!), jak gdyby mieli obawy, że usłyszą ją lecącą w górę lotnicy. Cała ta nasza akcja trwała sekundy, a wypadki zaczęły toczyć się teraz w błyskawicznym tempie.

Jednocześnie z żyrandolami niebo pokryło się rojem maleńkich gwiazdek, które rosły w wielkie magnetyczne słońca, wszystko wokół oświeciło ostre, białe-żółte, klujące oczy światło. Grzmot w górę narastał, zbliżały się eskadry bombowców. Przenikający do szpiku kości gwizd rozdarł powietrze, ziemia jęknęła od eksplozji pierwszej serii.

Wojna techniczna, wojna maszyn, groza, strach, okropność — to wszystko są puste słowa, nie dające najmniejszego obrazu tego co przeżywa człowiek podczas takiego bombardowania.

Jedyna myśl, która wibrowała we mnie wówczas, jedno słowo, które dziś ciśnie mi się na usta, a może określić choć w przybliżeniu wyjątkowe to przeżycie, jest — katastrofa kosmiczna.

Rzeczywistość, czas, wymiar, przestrzeń, przestają istnieć. To, co masz pod sobą, w co wpijasz się jak robak, przestaje być czymś stałym, ziemią. Jest wibrującą masą, którą trzymasz kurczowo, ażeby nie rozplynęła się pod tobą. Nieba nad tobą nie ma, tysiące gwiazd-słońc, wyrwanych z swych orbit, spada ci na głowę. Nie ma nic stałego. Czarna czeluszka wypełniona wirującą materią.

Nie ma minut, godzin lat. Są tylko okresy szczytowego napięcia, gdzie wszystko rwie się, pęka i rozpada. Każda chwila może być twoją ostatnią i zdaje ci się — ostatnią całego wszechświata, którego częścią się czujesz.

Nie ma bólu, strachu, żadnych ludzkich uczuć i słabostek. Jest rozdergana od siły materia i ożywająca ją świadomość, ta najprymitywniejsza — ta, co była na początku. Chwila ciszy — odpężenie, nie ma nic, nie ma absolutnie nic... I znów siły zgęszczają się, materia drga i wibruje, a myśl oplata ją, świadomość ją przenika — i bez przerwy trwa ten proces stawiania się i unicestwiania. Długie półtora ziemskiej godziny — wieczność kosmiczna.

Świadomość, pozbawiona wszelkich uczuć precjuje z niesłychaną precyzją, wiem, że widzę, słyszę, czuję. Obrazy montują się w mózgu z niesłychaną szybkością i przechodzą pozbawione jakiegokolwiek komentarza uczuciowego, zmieniają się, jak obrazy w kinie.

Wiatr wieje w stronę rzeki, całe masy rakiet oświetlających spływają w naszym kierunku, spadają wokół na łąkę, palą się jeszcze przez chwilę, z daleka czuje ich żar. Niektóre z głośnym sykem gasną w wodzie rzeki poza mną.

Na chwilę zapada mrok. Większość światła zgasa i zdaje się samoloty nie huczą już tak głośno, może wreszcie koniec — złudzenie. Za chwilę płoną nowe sygnały, nowe słońca, i lecą nowe bomby.

Bombardowanie odbywa się tak zwanym systemem kobiercowym. Większa ilość samolotów jednocześnie zrzuca cały swój ładunek, a gdzieś na dole w mieście, gdzie spadną bomby, rozsiela się dywan kraterów i ruin.

Cały obszar bombardowany widoczny jest spod mego pomostu. Oświetlone białym, martwym światłem, które padając ze wszystkich stron, nie rzuca cienia, wypełnione tumanami żółto-rudego dymu i kurzu, w którym bezustannie błyskają czerwone światła eksplozji — stoi miasto. Nawet w chwilach, gdy samoloty przeleciały, gdy już nie rzucają bomb, eksplozje nie ustają — rwą się rozsadzane

pożarami niewypały, bomby czasowe, a przede wszystkim własne zapasy materiałów wybuchowych i paliwa. Nieprzyjacieli nie przestaje, bez ustanku, fala za falą nadchodzi wciąż nowe eskadry, nowe gwizdy, nowe trzęsienia ziemi.

Przyszedł wreszcie dywanik, który i nas przykrył jednym swym rozkładem.

Tym razem bomby nie gwizdały. Przelatując tuż nad głową, wydawały stękająco-młaskające dźwięki. Przygłębiliśmy wszyscy jak najmocniej do ziemi. Nagle pustka. Ubranie nie przylega do ciała, od zewnątrz uczucie pęcznienia, króciutką część sekundy zdaje się że człowiek unosi się w powietrze — nagle spada na ciało miazdzący ciężar, jakgdyby wypuszczony z prądnicy strażackiej strumień wody o wysokim ciśnieniu, wszystko na tobie trzępocze się i rwie. Krótki, ostry trzask szarpie wszystkimi nerwami i cisza. Żyjesz. Dzwoni tylko przeraźliwie w uszach i szumi w głowie.

Miał rację mój nauczyciel fizyki, że postawił mi kiedyś dwójce. Powietrze ma swój ciężar i to nawet nie liche.

Otepiałym, nieczułym czekało się na koniec nalołu, na koniec życia, na koniec świata, wszystko jedno już na co, tylko żeby się już raz wreszcie skończyło.

Kiedy spłynęły w dół i zgasły ostatnie światła, kiedy ucichł szum samolotów, trudno było uwierzyć, że się żyje i że naloł wreszcie się skończył.

Nie, nie wierzyłem, zerwałem się, ażeby odejść jak najdalej i jak najszybciej od przekłętego miejsca. Piętnaście kroków od naszego schronienia był pierwszy krater, dalej widać ich było całe szeregi na łąkach i w ogrodach.

Mieliśmy szczęście, że cały ten piękny dywan rozzerwał się w miękkim podłożu i przegniotł nas tylko ciśnieniem powietrza, i to mocno osłabionym nierównością terenu i kryjącej z ciężkich bali. W mieście w takich warunkach spadałyby nam na głowę całe kamienie. Minąwszy pola kraterów szliśmy szybko dalej. Janka uważała, że święty Tadeusz jest niezawodny i to on właśnie uratował nam życie. Ja chciałem zapalić papierosa i stwierdziłem z rozpaczą, że zostawiłem całą stugramową paczkę tytoniu w mieszkaniu na stole. Wrócić się po nią niestety nie miałem żadnej ochoty.

Szliśmy ciągle dalej, minąwszy przedmieście „Laubegasse”, gdzie miałem się zatrzymać. Było nawet nie zniszczone. Wolałem być jednak jaknajdalej od zabudowanego gęsto terenu.

Zaczął padać deszcz wielkimi błotnistymi kroplami, miotany silnymi podmuchami wiatru ślekał po twarzy.

Iść dalej nie było sensu. Zatrzymaliśmy się w małej budzie przewoźnika.

Od miasta nadchodziło coraz więcej ludzi, szukających dachu nad głową. Wszyscy byli obdarci, brudni i zmęczeni. Nikt nie miał siły nawet mówić. Drzemając na ławkach czekaliśmy rana.

O świcie postanowiłem wrócić do miasta.

Na dworze panował jeszcze półmrok, padał deszcz — niebo od horyzontu do horyzontu dzieliła potężna chmura czarnego dymu biorąca początek w niewidocznym stąd mieście, a ginająca za nami w kierunku Sudeatów. Na przedmieściu „Laubegasse” odszukałem swych kolegów.

Spali jeszcze.

Okazało się, że wczoraj podczas nalołu obaj byli w mieście. Przeżyli tam pierwszy naloł, a drugi spotkał ich w drodze powrotnej, bardzo blisko miejsca, w którym i my znajdowaliśmy się o tej porze.

Porównując swe spostrzeżenia mogliśmy już sobie stworzyć pełny obraz wczorajszych przeżyć. Sytuacja wszędzie była mniej więcej podobna. Pierwszy naloł przyszedł całkowicie nieoczekiwanie i zaskoczył większość ludzi w domach i na ulicach. Przy pierwszym naloście zapalono całe śródmieście, bombardowano tylko określone cele z niskiego lotu.

Jeden z kolegów był nad rzeką między mostami i widział, jak szybko, dwumotorowe bombowce nadlatywały całkiem nisko nad cel i dopiero rzucały swój ładunek.

Drugi z nich był w prywatnym domu i już podczas bombardowania zbiegł do piwnicy, a dom trafiony bombą zasypał się. Połowa piwnicy została zawałona, na szczęście przez małe okienko żyjący jeszcze mogli wydostać się nazewnątrz.

Wszyscy mieliśmy zupełnie dosyć już Drezna i Niemiec. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wracać do domu, do Czech, a my zdecydowaliśmy się iść razem z nimi.

Trzeba było zobaczyć, co dzieje się w śródmieściu. Ciekawy byłem, czy żyją moi koledzy i czy stoi dom, w którym mieszkaliśmy.

Janka nie chciała rezygnować z rzeczy, które zostały w miejscu, gdzie pracowała i twierdziła stanowczo, że nie mogły się spalić, miała silną wiarę w świętego Tadeusza. Przygotowaliśmy się do drogi, koledzy spakowali się, zabraliśmy trochę żywności. Janka poszła spać, a my mężczyźni wyruszyliśmy do miasta.

Godzina była piąta rano. Jeden z kolegów pojechał okólną drogą na rowerze, my dwaj mieliśmy iść wzdłuż rzeki.

Po drodze mijaliśmy nas gromadki ludzi, uciekających z miasta, byli posmoleni, brudni, w podartych ubraniach, rzadko kto miał jakiś tołoczek czy walizkę, najczęściej byli nawet bez pałt mimo zimowego miesiąca. Spotkaliśmy znajomych Czechów. Odradzali nam stanowczo pójście do miasta, mówili: „Tam jest jedno piekło, szczęśliwi jesteście, że jest już poza nami”. Szli do domu, do Czech, nam radzili tak samo.

Dotarliśmy do Loschwitzkiego mostu, przy którym zastał nas wczoraj drugi alarm. Chmura dymu była już tak gęsta, że panował półmrok, tam, gdzie wczoraj powylały tylko szyby, dziś nie stał już żaden dom. Wiatr niosący kłęby dymu, iskry i odór spaleniźny, wiał prosto w twarz. Posuwanie się nadal wzdłuż rzeki było niemożliwe. Postanowiliśmy obejść miasto od strony „Grossen Garten” (wielkiego ogrodu), ogród ten był szerokim pasem zieleni, który sięgał prawie do środka miasta. Po dłuższym kluczeniu bocznymi uliczkami doszliśmy tam.

Jeden z najpiękniejszych ogrodów Drezna, miejsce wyczasów i spacerów, — dziś przedstawiał makabryczny widok. Po pierwszym naloście uciekając z palącego się miasta, tysiące ludzi szukało tu schronienia. Bomby drugiego nalołu były w ogród ten najgęściej. Powyrywane, rozszarpane drzewa, całe przestrzenie przeorane potwornym plugiem i plon śmierci — dziesiątki, setki rozszarpanych, zmasakrowanych ludzi. Na sterczących kikutach konarów zwisały półcie ludzkiego mięsa, na powalonych drzewach między gałęziami więcej na wietrze strzępy sukien i trzewia. Miejscami spotyka się całe gromady ludzi przykucniętych gdzieś pod krzakami, objętych wspólnym uściskiem ramion, cichych, martwych.

Między ludźmi porzucane trupy egzotycznych zwierząt, w pierwszej chwili nie mogłem pojąć, skąd się tu wzięły, dopiero później uświadomiłem sobie, że tu zaraz w tym samym parku był wielki ogród zoologiczny. Teraz antylopy, żyrafy, wielbłądy, egzotyczne barwne ptaki leżą tu razem z tymi, którzy je kiedyś oglądali i podziwiali w jednej bezkształtnej, zmieszanej masie mięsa.

Jatka ciągnie się na przestrzeni całego ogrodu. Robi się słabo od mdłego zapachu krwi i spalonego mięsa.

Wszystko pokrywa rudy półmrok. Promienie słońca nie przedostają się przez grubą pokrywę dymu, ciągle wieje wiatr, jak z rozpalonego pieca.

Staram się przedostać dalej. Dzielnica, w której był dom mojego majstra. Tu spadły kobierce, na miejscu ulic rozciągają się obszerne dymiące, zasypane gruzem place.

Tam gdzie nie trafiły bomby burzące, płonę wszystko. Przejść ulicami jest niemożliwe. Posuwam się tyłami domów, gdzie były puste place i ogródki. Wszędzie, w każdym zaułku pełno trupów, większość z nich jest zupełnie naga, zaskoczeni we śnie, rozebrani przez ciśnienie powietrza. Leżą teraz z rozłożonymi ramionami, szklane oczy patrzą na gruz, zgłiszczą. Niektórym płomienie przylepiając się lepkiem fosforem podgryzały ręce i nogi, niektórzy zupełnie zwegleni przypominają tylko kształtem postacie ludzkie.

Leżą dużymi grupami, po kilka osób, całe rodziny, matki z dziećmi, starcy.

Wszędzie wala się ogromna masa rzeczy, walizy popakowane na wypadek alarmu, rozbite podczas upadku wysypujące ze swych wnętrza całe masy cennych przedmiotów, jest jednak tak źle, że nawet nikt nie kradnie. Kto żyje jeszcze, przemyka się ostrożnie między gruzami, ogniem, kraterami bomb, patrząc bojaźliwie na wszystkie strony, gotowy w każdym momencie przygłębnić do ziemi. Wieczne niebezpieczeństwo od bomb czasowych i niewy-

palów. W każdej chwili może rozerwać się taki pocisk pod nogami. Nie miałem więcej czego tu szukać. Przez park wracać nie chciałem. Postanowiłem wydostać się znów nad rzekę, a idąc z powrotem i mając wiatr w plecy, łatwiej będę mógł wydostać się z miasta. Do rzeki musiałem dostać się przez labirynt wypalonych prawie doszczętnie ulic. Droga moja prowadziła około dużego więzienia na Matildenstrasse. Mury jego i niektóre pawilony rozdarte zostały bombami burzącymi, reszta wypalona i paląca się jeszcze. Co stało się z więźniami? Wszystkie więzienia w Dreźnie były przecież przepełnione. Później w drodze rozmawiałem z jeńcem, który uciekł stamtąd. Opowiadał, że strażnicy zamknęli ich, a sami uciekli, zaraz przy pierwszych bombach zapaliły się niektóre pawilony, w innych poprzekinały do niższych pięter i tam wybuchały pożary, tak że więźniowie na górze i na dole słyszeli wycie tych, co smażyli się żywcem. Przy działaniu bomb burzących rozpadły się w niektórych celach drzwi, dopiero ci, co wyszli stamtąd, wyłamywali drzwi do innych cel i oswabdzali swych towarzyszy. Tak wyłamując się, przechodząc przez płonące piętra, po płonących klatkach schodowych, miała ich część zdołała wydostać się nazewnątrz, a później zmieszani z tłumem innych uciekinierów, którzy nie wyglądali wcale lepiej od nich, tak samo brudni, posmoleni i bardzo często też bez żadnych dokumentów, szli dalej.

Nielicznym tym szczęśliwcom piekielna noc przyniosła swobodę, a niejednego uratowała od stryczka.

Nad rzeką sytuacja nie była lepsza niż w mieście czy ogrodzie, tu też uciekali zewsząd ludzie, ażeby uchronić się przed uduszeniem, a podczas drugiego nalołu spadły tu miny powietrzne.

Ranni żołnierze, których wczoraj mijaliśmy, siedzieli tu i dzisiaj. Z ust ich wyciekały małe strumyczki krwi, mieli rozerwane płuca. Nie mogłem i nie chciałem patrzeć więcej na te wszystkie okropności i jak najprędzej wracałem za miasto. Czym dalej od centrum, tym mrok stawał się rzadszy, słońce od czasu do czasu przebijało grubą powłokę dymu. Z tyłu w mieście dudnił wciąż pożar.

Coraz więcej ludzi czarnych, osmolonych, z błędnymi oczyma, cicho, nie mówiąc nic ze sobą, szło aby dalej, jak najdalej od miasta. Cały niemiecki rygor, porządek i hierarchia w dniu tym przestały istnieć. Nikt nie krzyczał, nie rozkazywał, nie organizował. Na wszystkie strony świata, gwiazdozbiście od miasta płynęły tony uciekinierów.

Niemcy, cudzieńcy, niedza, wczoraj jeszcze bogacze, wojskowi, elegancko ubrani oficerowie SS, ranni okryci w chałaty szpitalne, lub koce, policja, dozorczy więzienni i zbiegli więźniowie — wszystko to szło ramie przy ramieniu, nikt nie zwracał na nikogo uwagi, każdy jak najdalej od miasta.

Po kilku godzinach wędrówki poprzez kręgi tego piekła, które przewyższało o całe piekło bujną fantazję Dantego, dostaliśmy się znów na Laubegasse. Nie mówiliśmy do siebie już nic, wszystko było jasne, jak najprędzej iść, gdzie oczy poniosą. Około dwunastej mieliśmy wyruszyć w drogę, gdyż znów zadudniły motory samolotów. Tym razem nie podano alarmu, nie było elektryczności i nie było żadnej łączności telefonicznej. W pierwszej chwili myśleliśmy, że niemieccy lotnicy chcą obejrzeć płonące Drezno. Gospodyni domu wpadła z przeraźliwym krzykiem, że znów bombardują. Jednocześnie od strony miasta doleciał odgłos potężnej eksplozji. Pogналиśmy nad rzekę, aby na jej brzegu szukać schronienia. Poprzez dym nie widać samolotów, słychać tylko grzmot motorów, gwizd bomb i eksplozje. I tak znów przez całą godzinę. I tym razem mieliśmy szczęście. Bombardowano inne dzielnice miasta. Obłok dymu zgęszcza się od nowych pożarów. Gdy tylko ucichły samoloty, wracamy do domu, aby wziąć kilka paczek, majątek moich kolegów i idziemy na południe do Czech. Gdy byliśmy oddaleni 20 km. od Drezna, był nowy alarm. W nocy w Königstein 40 km. od Drezna — znów alarm.

Dnia 15 lutego przekraczaliśmy starą granicę czechosłowacką, wówczas jeszcze granicę Sudeatów i Saksonii. Czesi czuli się jednak już u siebie w domu. Nad nami unosiła się jeszcze ciągle potężna smuga dymu, a pola i drogi pokryte były niedopalonymi papierami. Podniosłem jedną z tych kartek — formularz policyjny dla robotników cudzoziemskich z aktów prezydium policji w Dreźnie. Było to ostatnie pozdrowienie z Drezna i z Niemiec.

Na granicy fantazji i historii

Nie dawna — a nowa samopomoc

(dokończenie ze str. 6.ej)

Tragiczne zmagania zachodnich słowian z naporem germańskim nie znajdują należytego odzwierciedlenia w naszej literaturze — tylko pięknej, ale nawet historycznej. Dziwna cisza panowała na tej rubieżu, jeśli chodzi o tematykę ziem zachodnich. Ostatni Gall Anonim wygłosił swoją pochwalną pieśń o Krzywoustym i zapanowało żenujące milczenie. Tylko dwie pozycje godne są na ten temat wzmianki. Mamy tu na myśli „Stara Baśń”, a przede wszystkim „Królewska pieśń” Kazimierza Glińskiego. W utworze tym nawet oficjalna krytyka dopatrywała się tylko epigonizmu Pana Tadeusza. Był to osąd krzywdzący, tak jak krzywdząca była nieznajomość tego utworu. Dziś najwyższy czas zakulturować tę książkę i postawić ją na równi z „Krzyżakami”, jeśli chodzi o zagadnienie naszych zmagania z Niemcami.

Ostatnie stadium owej walki: kolonizacja i germanizacja znalazły niejaki oddźwięk u Zachariasiewicza, Sienkiewicza, Prusa i Rodziewiczówny, jeśli brać pod uwagę książki stanowiące pewne pozycje w naszym dorobku piśmienniczym.

Uwagi powyższe konieczne wypadają zano-tować, kiedy się czyta wydaną świeżo przez firmę poznańską Władysława Grabskiego książkę^{*)}, która i tytułem swoim i treścią przenosi nas w zamierzchłe czasy wikingów i początki państwa polskiego.

Jak widać z zapowiedzi autora zamierza on stworzyć (czy stworzył) trylogię, która ma objąć swoją treścią okres kilku lat panowania Bolesława Chrobrego przed rokiem 1000, rokiem, tak upiornie wieszczym nad duchowym i fizycznym życiem średniowiecza, kiedy to wierzone, że wówczas nastąpi koniec świata.

Saga o jarlu Broniszu Władysława Grabskiego jest powieścią. W zakresie wartości formalnych nie wnosi nic nowego do naszego piśmiennictwa. Natomiast temat jej — Polska na morzu w początkach swojej państwowości i stosunki z państwami północy, sąsiedzkie współżycie z wikingami — jest tematem wybitnie rewelacyjnym. Akcja toczy się spokojnym, płynnym nurtem narracji, autor wyraźnie unika balastu scenizowania wypadków, w całej dość długiej fabule ogranicza się do kilku zaledwie scen wyraźnie narzysowanych. Są to momenty przez autora celowo obrane i stanowiące jak gdyby filary wspierające całą rozległą budowę powieści. Nad zjawiskiem, które popularnie zwie się klimatem książki, ciężko zdecydowanie indywidualność autora, jego wrodzone tendencje pisarskie, których dominującą cechą jest spokój o wyraźnych skłonnościach epickich.

Treścią tej powieści jest fragment dziełó-ryczyra polskiego, Bronisza, którego autor nazywa wikingowskim określeniem — jarlem: jego urzędowe kontakty z panującymi w państwach skandynawsko - wikingowskich oraz perypetie miłosne z córką jarla norweskiego Jarlanda. Ówże jarl Bronisz należy do drużyny najbliższych, koczujących wów-czas polańskiego, Bolesława. Jarl Bronisz ma powierzone swej pieczy sprawy specjalne. Na dzisiejszy język przykładając można go nazwać ministrem spraw morskich.

Wprowadza nas ta powieść w wir spraw ówczesnych: sojuszy, mariaży, dziedziczenia, sukcesji, polityki kościelnej, intryg dynastycznych - podbojowych, świata chrześcijańskiego i pogańskiego. Nad wszystkim jednak góruje wyrażnie i zdecydowanie — co trzeba podkreślić specjalnie — żywioł morza. Ono stanowi łączący element międzynarodowego życia, w zbiegu tegoczesnych spraw politycznych, militarnych i kulturalnych jest czynnikiem przeważającym, a najmniej dopełniającym. Autor tak grupuje fakty i przedstawia przebieg poszczególnych elementów akcji, że ten problem jest dominujący.

Centralnym punktem terenu, przez który się przewija większość zdarzeń powieści, jest ujście Odry, gdzie izały głośne naówczas osiedla: Szczecin, Woiń, Jomsborg. One stanowiły punkty wypadowe i wlotowe ówczesnego, w powieści przedstawionego życia. Nawet stolice Bolkowego koczownictwa nad Wartą: Poznań i Gniezno (nie mówiąc o Krakowie) są jakby na marginesie powieściowych zdarzeń i tych miejsc. Kontakt z nimi jest luźny i sporadyczny i stąd znajdują się raczej w cieniu.

Najciekawszym z wymienionych grodów jest bezspornie Jomsborg. W nim żyje na służbie koczowniczej bractwo woiów wikingowskich przypominających swoją organizacją sicz zaporoską koczaków z XVI i XVII stulecia. Żywiołem ich jest walka i łupież, autorytetem wszelka jednostka opromieniona sławą. Kochają walkę, morze, wyprawę. Oni to jako element skupiony w jednym miejscu (a więc łatwy do dysponowania), ruchliwy i awanturkiczny ułatwiają cały szereg przedsięwzięć mających na celu wygranie dogodnych sytuacji w polityce bałtyckiej.

Powieść Władysława Grabskiego przedstawia ten okres w dziejach narodu polskiego,

kiedy stosunkowo niedawno przeszedł on cały szereg wstrząsów, przeobrażeń i zmian. Takie akty jak chrzest przed kilkudziesięcioletni, takie jak przejście z organizacji rodowej zdecentralizowanej na książęcą scentralizowaną — były to procesy i zdarzenia zbyt głębokie, ażeby przeszły bez długosieżnych reakcji. W powieści szerzej potraktowano tylko problemy religijne nadając im specyficzny ton. Przeciwwstawienie ówczesnych dwóch światów, chrześcijańskiego i pogańskiego, granica między nimi w życiu codziennym, nie jest zarysowana bardzo ostro. Stosunkowo najsilniej występuje to w państwach skandy-nawskich, gdzie oba te światy żyją obok siebie dość zgodnie. Chrześcijaństwo nie jest zbyt drapieżne, pogaństwo — nie uparte.

Jest moment w powieści, gdzie autor oscy-luje bardzo blisko zagadnienia, któremu tak drastyczny wyraz dał pisarz węgierski Franciszek Herczeg w swojej powieści pt. „Poga-nie”. Peter Reinber, główny przedstawiciel świata chrześcijańskiego w Szwecji po kilkunastu latach szerzenia nowej wiary znalazł się w momencie obliczenia swoich wyników pracy na rozdwoju. Mówi: „...normanowie wciąż, niby ptaki na wyraju duchem włóczęgi mamiani, rozglądają się po dalekościach, węższa wiatry zamorskie, a nie cenia, jak trzeba, wartości gniazd rodzinnych”. Jest bliski dania za wygraną, ale jak bohater Herczega asymiluje się z poganami, pater Grabskiego opuszcza ostatecznie stanowisko zajmowane i przenosi się do Słowian, gdzie spodziewa się lepszych wyników swojej pracy, niż między wikingami. Jego filozofia życiowa ugruntowana na praktycznych doświadczeniach jest bardzo charakterystyczna. „Miłością samą o-ganiana nawrócić nie można. Pierwej go mi-łości nauczyć. Bv zrozumiał, że miłość jest potęgą, a nie słabością — mówi światobliwy pater Reinber — do tego trzeba być silnym po ludzku. Gdy pogańska chwycę za gardło, zburzę mu posąg bożka, zdanemu na moją łaskę daruję życie i dam możliwość szczęśliwego bytu, wtedy zrozumie...”. Dziwna, jak-by nam nieco znajoma barwa miała te słowa bogobojnego duszpasterza. Tej postaci przeciwstawiony jest św. Wojciech, uosobienie łagodności, tolerancji, spokoju, słodczy i po-święcenia.

O ile więc zagadnieniom religijnym autor poświęca więcej miejsca i są rozpracowane szerzej, o tyle nad sprawą zmiany struktury polityczno - społecznej Grabski prześlizgnął się w jednym zdaniu dośownie. Co prawda ta sama sprawa stanowi główny temat „Starej baśni” Kraszewskiego, niemniej jednak potraktowana jest bardzo znamienne. Przedstawicielem władzy książęcej jest małowartościowy Chwostek. Kraszewski uprościł sobie zagadnienie o tyle, że zwalczana przez stronników starego porządku zasadę rządów absolutnych koczownicy uosobili w niesympatycznym Chwostku. U Grabskiego, zdaje się, jakby weszły tu w kolizję dwa czynniki — uczony i twórca. Wiadomość faktu przez uczonego

domagała się uzewnętrznienia jej, smak i plan pisarza, świadomość równowagi elemen-tów oddanych do dyspozycji, cel i zakres w posługiwaniu się środkami ograniczył to do minimum. W rezultacie autor uporał się z tym zagadnieniem w jednym afirmatywnym zdaniu.

Książka ta jest bardzo na czasie. Na kompletnym bezrybiu beletrystycznym na temat problemów zachodnich stanowi pozycję literacką, która boruje drogę do innych opracowań i publikacji na ten tak wielce żywotny dziś temat.

Pozostałaby do omówienia jeszcze sprawa osób historycznych, tego co można nazwać wmontowaniem rzeczywistości dziejowej w strukturę powieści. Należą do nich — że wymienimy tylko najznamienitszych — kneź Bolko Chrobry, święty Wojciech i Świętosława, siostra knezia a królowa Szwecji. Zdaje się nam, że osoby te, mimo wyraźnych starań autora urealnienia ich wypadły prawie portre-towo, a Świętosława-Sigryda, najbardziej z nich ludzka przez cały ciąg powieści przy końcu całkiem okazała się sobowtórem Balladyny.

Motywy urealnienia postaci świętego nie jest nowy. Z taką pracowitością potraktowała go Zofia Kossak-Szczucka w powieści krzy-zowcowej „Bez przeza”. Jej święty Franciszek nie wypadł przekonująco i doprowadził do pewnej przesady, waha się między niepoczy-talnym naiwnikiem a cudą czyniącym ober-wańcem. Święty Wojciech Grabskiego jest nieco bledy, sztywny i schematyczny, mimo że pisarz zabiega nad użyciowaniem go przez zmianę scen i ściślości w opisie. To samo dotyczy knezia Bolesława. Autor daje go na koniu i w kąpieli, przez rubaszne okoliczności stara się mu dać cechy życia, jednak Chrobry jego został cokolwiek Chrobrym z pomnika i matejkowskiego obrazu.

Bardzo być może, że stanowi to celowy wy-silek. Musimy pamiętać, że jest to saga swia-domie przez autora budowana, stąd schematyzm w kreśleniu postaci może być zasadą naczelną i jedyną. Ale w takim razie znów sceny realistyczne stanowiły by antynomie i dyssyansy.

Na zakończenie należałoby zadać sobie py-tanie, o ile książka ta jest saga? Na wstępie tych uwag wspomniane było, że zasada zna-czeniowa sagi klasycznej została zamiana, że może ona kryć właściwe sobie wartości i pod tym kątem musi być oceniana jako indy-widualne dzieło autora pod nazwą bądź co bądź konwencjonalną. Łącząc w sobie pierwiastek fantazji z pierwiastkiem historycznym po-wieść Władysława Grabskiego stoi na granicy sagi i powieści i aczkolwiek nie posiada cał-kowitej koturnowości sagi, ma z niej ów ol-brzymi świat zdarzeń wikingów, którzy ży-ciem swym sagi te tworzyli, a o który zaha-czała w dawnych czasach nasza młoda pań-stwotwórcza wychodząca na Bałtyk wiążący je z normandzkimi ludami skandynawskiej pół-nocy.

T. G.

Głosy pisarzy

List do Redakcji

Otrzymałmśmy ostatnio list od Jakuba Wojciechowskiego, autora książki „Zyciorys własny robotnika” i „Wczoraj i dziś” Wojciechowski, „odkryty” i wprowadzony do literatury przez Boya-Zeleńskiego, jest reprezentantem bardzo interesującej socjologicznie i kulturalnie grupy pracowników fizycznych, a mianowicie tych robotników rolnych, którzy z takich czy innych powodów przechodzą w środowisko miejskie jako robotnicy przemysłowi. Już to samo — nie wspominając o literackiej wartości książki Wojciechowskiego — czyni go dla nas pisarzem nader ważnym i interesującym.

Szanowni drodzy koledzy!

Z wielką radością przyjąłem wasz list który mnie bardzo ucieszył. Przepraszam, że się cośkolwiek spóźniłem z odpisem, ale już w tem nie moja wina.

Udzielam się społecznie bardzo wiele, jestem delegatem do Rady Narodowej w Barlinie, tak i do Rady Powiatowej w Szubinie i zarazem do Prezydium. Nie zapominając o Opiece Społecznej w której także mam zaufanie.

Obecnie pracuję w PPR w Barlinie, podczas okupacji pracowałem we Wapiennem w charakterze maszynisty.

Przy tej sposobności robiłem sobie nie jedne notatki.

Z mojej biblioteki, którą miałem pomiędzy ludźmi schowaną niemiecka policja skradła mi 80 tomów, które zostały spalone w gazowni Miejskiej w Barlinie.

Dalsze 250 książek moich udało mi się utrzymać. Z których utworzyłem bibliotekę w kancelarii PPR i wypożyczam do czytania bez opłat.

Zapewno nie wszyscy wiecie o tem że nasza stolica robotnicza Łódź wyasygnowała mi moją pierwszą książkę 6.000 zł. Wobec tego chce swój dług spłacić naszej stolicy robot-

czej wyczerpie wszelkie moje siły aby z wami pracować. Bardzo proszę o nadesłanie tygodnika społeczno-literackiego aby się z nim zapoznać. Serdeczne pozdrowienie dla współpracowników choć mi osobiście jeszcze nieznanych, i zarazem uścisk dłoni dla wszystkich.

Wojciechowski Jakub

Barcin. ul. Kościelna Nr 32
powiat Szubin Województwo Pomorskie

Nr. 13 (41) „WSI” ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król — Co się dzieje na Uniwersytetach Ludowych; Władysław Milczarek — Źródło; Stefan Lichanski — Miasto — wieś — regionalizm; Mieczysław Józwiak — Miasto; Jan Rybkowski — Zagłada miasta Drezna; Jan Rosiński — Noc; Jan Madej — Wszystko, co polskie, musimy wehłonać; Zygmunt Stolarski — Wobec najważniejszej sprawy państwa; Dyskusja o Szeli, oraz noty i ogłoszenia. 2 ilustracje, 8 stron.

Prenumerata „Wsi” wynosi:

zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piorkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piorkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piorkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piorkowska 147, tel. 126-65.

poza Łodzią:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika”, z zaznaczeniem: na „Wies”

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — FOTITET REDAKCYJNY: Kalużyński Zygmunt, Morfon Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław.
KOMITET REDAKCYJNY: Frasiak Andrzej, Nędra-Kubiniec Stanisław.

REDAKCJA: Łódź, Piorkowska 96 tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydawnictwo Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpalte. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wies” Łódź, Piorkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D-02735

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Zwirki 2.

*) Władysław Jan Grabski — SAGA O JARLU BRONISZU — I Zrekowiny w Uppsali, stron 344, nakładem Drukarni Św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.